

# Kometa Halleya przywlokła AIDS?

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

• ROK ZAŁOŻENIA 1933

## kamena

NR 1 (847)

12 stycznia 1986

Cena 15 zł

O jej  
powrocie  
po 76 latach  
czytaj

na str. 9



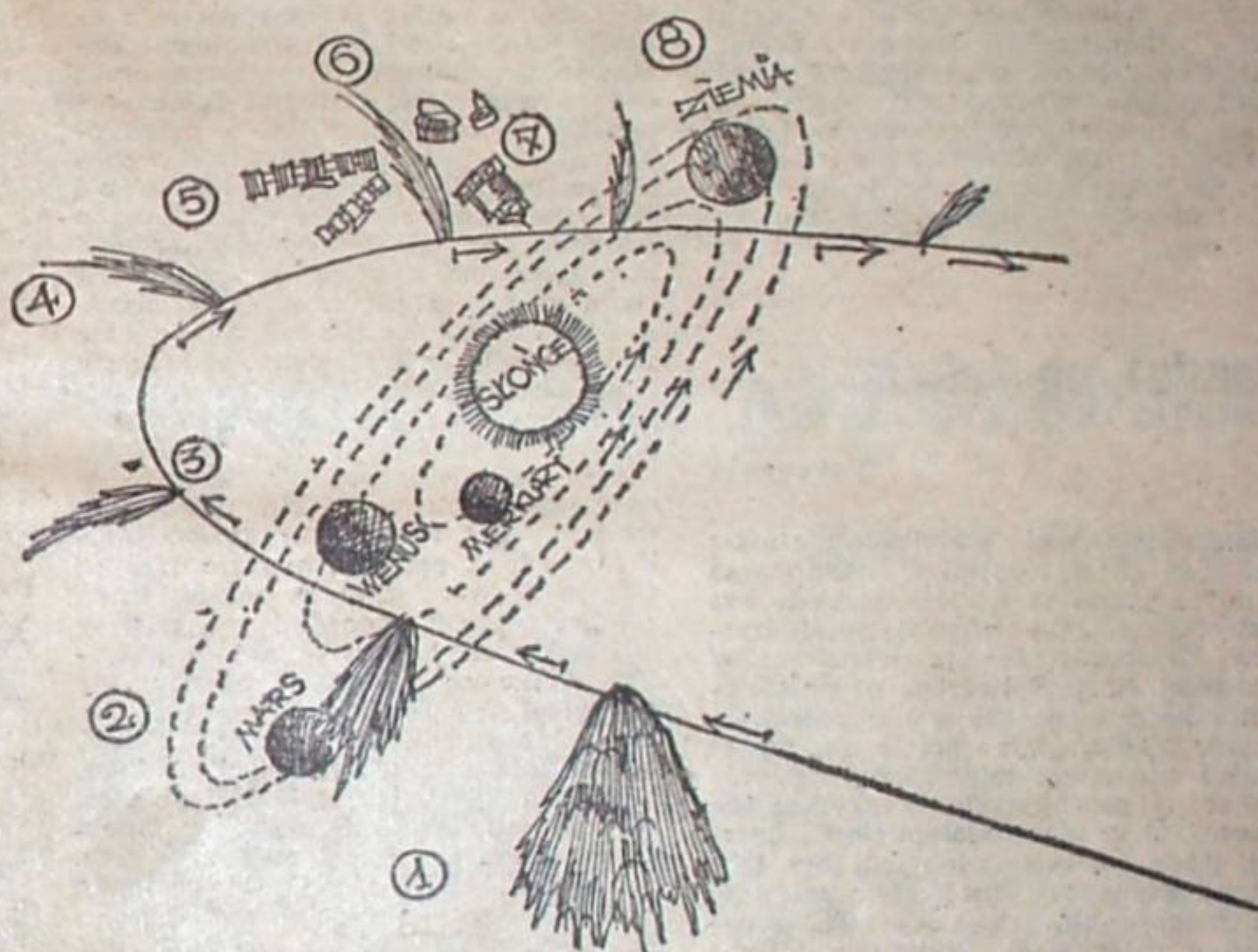
Fot. Maciej Kaczanowski

-Panie Grubba  
czy  
jest pan  
bogaty?

str. 12

## Indiana Jones

str. 8



Rys. Józef Tarłowski

1. Kometa Halleya zbliża się do Marsa.
2. Grudzień 1985 r.: widoczna gołym okiem z Ziemi.
3. Styczeń 1986 r.: dla mieszkańców półkuli północnej — widoczna nisko nad horyzontem.
4. Luty: niewidoczna z Ziemi, ukryta za Słońcem.
5. 6 marca: radzieckie sondy „Vega 1” a następnie „Vega 2” rozpoczynają filmowanie komety Halleya.
6. 8 marca: początek obserwacji przez japońskie sondy „Sakigake” i „Suisei”.
7. 13 marca: europejska sonda „Giotto” rozpoczyna badanie jądra komety.
8. Kwiecień 1986 r.: kometa Halleya znajdzie się najbliżej Ziemi.

Handel po lubelsku

Dali Urbanowi  
popalić!

str. 2

Mikrokomputery

str. 8

„Dezodorostudenthandel”

str. 5



# z notatnika

## Pisz, Maniu, dalej!

1 stycznia

W Nowy Rok przeczytałem od deski do deski kryminał Henryka Kozaka pt. „Kupię śmierć”, książeczkę wydaną przez WL. Jest to o tyle nietypowy kryminał, że pisał go człowiek pracujący w aparacie ścigania, a więc mierzony trud funkcjonariuszy musiał być potraktowany ze zważaniem zawodowca. Sądzę, że to trochę zaszkodziło powieści, bo autor nie chciał nikogo urazić, a i same dialogi są zbyt ulizane: oficerowie milicji wazą każde słowo, nie rzucają mięsem, są grzeczni aż do przesady, ale myślą i swoje robią. Dlatego bardzo się zdziwiłem, gdy usłyszałem, że niektórzy mają autorowi to czy tamto za złe. Oczywiście każdy ma prawo czegoś się dopatrzeć, ale książka nie jest przecież pomyślnym wystawionym WUSW czy RUSW. Ja jeśli miałbym cokolwiek Kozakowi zarzucić, to tylko to, że akcja rozkłada się zbyt wolno i do drugiego morderstwa trzeba czekać aż stron kilkadziesiąt. Dopiero później wszystko zaczyna się i zabiegać i rozjaśniać. Nie wymagamy jednak za wiele, kryminałnych książek, w Lublinie napisanych, właściwie nie ma i myślę, że Kozak potrafił nas jeszcze bardziej zaskoczyć, czego mu z całego serca życzę.

## Handel po lubelsku

3 stycznia

Jan Matacz (a może Halifax, nie mam pod ręką gazety) opisał w „Sztandarze Ludu” z jakim to trudem przyszło mu zdobywać resztki przydziałowej benzyny. W przeddzień (a właściwie w przednocy) Nocy Sylwestrowej przemierzał miasto w poszukiwaniu paliwa, a panom agentom nie chciało się nawet podjąć słuchawki telefonicznej, by nie jechał po próżnicy. Ja urządziłem się inaczej: 31 grudnia udałem się do Łęcznej, gdzie benzynę zdobyłem bez trudu, a przy okazji obejrzałem miejscowe sklepy, których większość zamknięto o czternastej. Widocznie huczne bały tu się szykowały! Dwa kioski „Ruchu” już wcześniej zatrzęsiano, natomiast w trzecim miseria była straszna, za szybą dalej żółtki nieelastyczny i wyblakłe egzemplarze pism, których tytułów nawet nie znam. W Supersamie uwagę moją zwróciła piżama, na której pyszniła się kartka z napisem: „Tylko na Kartę Górniczą”. W Lublinie ten nocny strój kupiłem ostatnio bez żadnych kłopotów, więc zdziwiłem się wielce, podobnie jak w pawilonie GS-u, pardon — w Domu Handlowym „Spółdzielca”, gdzie numery sprzedawanych koszul zaczynały się od czterdziestego trzeciego. Znak to, że w górniczej Łęcznej ludzom karki tłuścięją. Kto chudszy, musi szukać szczęścia w metropolii. Ale o metropolii będzie jeszcze niżej.

W tymże „Spółdzielcu” widniała wywieszka informująca, że w stoisku takim to a takim sprzedaje się jednodniówkę pt. „Merkuriusz Łęczyński”. Oddziałowałem złotych sześćdziesiąt, bo nikt egzemplarza okazowego naszej redakcji nie przysłał, ale po lekturze przekonałem się, że działano przeznaczenie, bo recenzja do bardzo wykwintnych by nie należała. Jeśli czytamy utwór autorstwa (przemilem nazwisko), stanowiący w dodatku fragment sztuki („Ciowni”), który zaczyna się tak: „To, co dało przetrwanie silę narodowi, / w krwawym jarzmie w niewoli okrutnej, wiekowej, / czego żaden ciemniaczka nigdy nie zwyciężył, / ma imiona dwa wielkie — kultura i język”, mam wątpliwość, czy istotnie zarówno kultura jak i język oparły się ciemniaczce. Również drugi wierszyk („Ballada o Łęcznej”), acz słachetny w intencjach, daleki jest, powiem delikatnie, od doskonałości. Natomiast bardzo mi się podobał „Elementarz dawnych potraw łęczyńskich” i natychmiast fusia w domu przyrządziłem. Całkiem smaczny! (Gotuje się ziemniaki, odcedza, tłucze, po czym wysypuje się mąkę pszenną — 3/4 miarki, 1/4 mąka. Po zagnieceniu robi się z tego kociety i podsmaża na tłuszczu).

Nie tylko jednak za fusia trzeba „Merkuriusz” pochwalić. Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Łęczyńskiej, które jednodniówkę wydało, miało szlachetne intencje przybliżenia nowym mieszkańcom przeszłości tej ziemi i w dużej mierze ten cel osiągnęło. Tadeusz Menceł zamieścił interesujący szkic na temat jarmarków łęczyńskich, Jan Gurbas zaś na temat miejscowej archeologii. Są też wspomnienia łęczyńskich seniorów, a także wywiad z przewodniczącym Rady Narodowej Miasta i Gminy, mgr. Tadeuszem Grzesiakiem. Osobna akceptacja należy się redakcji graficznej w osobie Stanisława Mamcarza, który jednodniówkę nadał kształt zachęcający do lektury. Tym bardziej raz! tzw. literatura. W przyszłości (redakcja zapowiada powrót jednodniówki, nowej oczywiście, za dwa lata) warto zwrócić się do kogoś o konsultacje w tym względzie.

Tyle o Łęcznej i jej jednodniówce, ale zapowiedziałem, że wrócę do metropolii. Przed kilkoma dniami w telewizji zmagali się drużyny WPHW w Lublinie i WSS „Społem” w Opolu (śląskim). Niestety, operatorzy telewizyjni nie pokazali, jak wyglądała wtedy ulica Szopena: właśnie sklep meblowy przy tej ulicy przekształcono z okazji turnieju w dom handlowy. Ponieważ dzień przedtem lubelska prasa o tym wspominała, można sobie wyobrazić, co się tam działo i przed otwarciem i po otwarciu stoisk, chociaż w gruncie rzeczy handlowano o święta tym, czym w wielu innych miastach handluje się na co dzień! Nie byłem na miejscu, przynajmniej, ale znam relację z ust naocznych świadków. Szturmowano tak zajadło, że dwie szyby poszły w trzaskiem, a ludziska omal się nie podusili. Ponieważ kolejka uformowała się już w nocy, powstały, oczywiście, i listy społeczne. Dwie, konkurencyjne! Ci, którzy je sporządzali, ulokowali się zaraz przy wejściu, aby niby to pilnować ład, kiedy jednak podwoje otwarto, pierwsi wtargnęli do wnętrza. A później jeden z telewizyjnych zapowiadaczy, znający lubelski handel, jak się należy domyślać, tylko ze szklanego ekranu, nie omieszczał życzyć innym miastom, by tak sobie radziły, jak Lublin!!! Broń Panie Boże i wszyscy święci! A kysz, a kysz, a kysz! Jak wołał Mickiewicz. Na miejscu WSS „Społem” w Opolu domagałbym się weryfikacji werdyktu, chyba że... chyba że Opole postąpiło podobnie.

Kiedy słyszałem w trakcie turnieju, ile to możliwości, ile twórczej inicjatywy daje kierownikom sklepów reforma gospodarcza, kłamałem w oku zakręciła. W Lublinie, jeżeli tę reformę w dziedzinie handlu dostrzegam, to jedynie w PDT „Sesam”. Niestety, tacy dyrektorzy, jak dyrektor Stanisław Stanisławski, który umiemy ryzykować i tego ryzyka się nie boi, między Bugiem a Wisłą, choć zapewne nie między Wisłą a Odrą, należą do rzadkości. W PDT nawet w mieszkaniach największego kryzysu półki zbytnio nie straszły gołzina, a dyrektor gotów był nawet handlować pokrzywą, jeśli by na nią znaleźli się amatorzy.

## Dali Urbanowi popalić

4 stycznia

„Usiedliśmy w salonie na dole, telewizji nie warto było żalować. Na tę sylwestrową noc puszczano tam straszne chwały jeszcze z czasów bodaj niemego filmu.” Kto tak napisał o telewizyjnym programie sylwestrowym? Jerzy Putrament. Czyżby na łamach 12 n-ru „Literatury”, objawił nam się nowy Wernyhora, nowy, bo numer ukazał się przed świętami? Nie z tych rzeczy! Autor „Baldyna” wspomina schyłek 1978 roku. Kubek w kubek niemal to samo można napisać na temat tego, co nasza kochana telewizja przygotowała na zakończenie 1985 roku. Maluczek, a zapomniano by o powitanie Nowego Roku, bo wskazówka duża nie była należała do zsynchronizowana z małą (mam na myśli tę, która wskazuje minuty i te, która wskazuje sekundy — w telewizyjnym zegarze obie są duże).

Inna rzecz, co dla telewizji może stanowić pewne usprawiedliwienie, że ze wskazówkami, nie tylko zegarówymi, różnie ostatnio bywało. Co otworzyło pismo, które ma w nagłówku „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się”, to znajduje ślask na Wla-

dysław Machejka. Pismo PRON-u też nie mogło odstawiać i przylatywało się, jak niegdyś, przy innej okazji, niejaki Szepiłow, ale o tym tylko starsi pamiętają. Zastanawiam się, skąd ten skoncentrowany atak? Wiem, że Machejka nie miał łatwego życia redaktorskiego w 1981 roku, ale od tego roku coś się jednak w kraju zmieniło, czemu daje wyraz i Izabela Cywińska, dyrektorka Teatru Nowego w Poznaniu, która w „Odrodzeniu” (nr 1) zali się m. in., jak to została oceniana przez redaktora BBC. (Cytuję dosłownie: „zostałam tam oceniana przez redaktora BBC i to, o paradoksalnie, oceniano akurat moją wypowiedź o cenzurze naszej, rzecz jasna, twierdząc, że mówię zbyt łagodnie. A ja mam nie najgorsze doświadczenia z cenzurą. Jeśli mi ktoś coś zdejmuje, to nie ona. Mówiłam o własnym doświadczeniu...”).

Warto więc jeździć do Londynu, aby inaczej spojrzeć na pewne instytucje w ojczystym kraju! Zaczęłam od Putramenta i poprzecz Machejka skończyłam na Cywińskiej. Maluczek, a zasadniczy temat, czyli telewizja, uleciałby mi zupełnie. Podwyższa się właśnie opłaty za możliwość oglądania srebrnego ekranu, telewizja ratuje też swój budżet pokazując idiotyczne reklamy firm polonijnych (w „Lubelskiej Panoramie” z uporem godnym lepszej sprawy stale przypominam o swoim istnieniu pewien pan, który zajmuje się zamianą lokalni), ale przysłówiowych już chrupiących bułeczek jak nie było, tak i nie ma. Powiedziałbym nawet, że im bliżej końca roku, tym więcej zakalców. Zauważyła to nawet „Trybuna Ludu” (że Leszka Gnoła ze „Sztandaru” — też Ludu — już pominę, choć on pisze bardziej finezyjnie i przekornie), która rzadko kiedy ganiła to, co się dzieje przy ul. Woronicza, no ale ostatnio szefa kultury „TL” red. MM, też w telewizji nie dostrzegam, stąd może większa ostrość widzenia.

Jerzy Putrament we wspomnianym już numerze „Literatury” w felietonie pt. „Fusy informacyjne” zapytuje, czy można dobrze informować, gdy się przyszyja język? „Rozęrzyjcie się, jest tu ktoś taki?” zapytuje i sam sobie odpowiada: „Oczywiście jest. Jest to niewysoki, słaby człowiek, zwie się Mirosław Wojciechowski, szef telewizji i radia. [...] Wojciechowski trzyma zębami ten swój język i jeszcze usiłuje się uśmiechać. Spójrzcie na tego słabego pana i nie dźwiecie się, że to tak wygląda”. Dalej Putrament apodyktycznie nawołuje, by Wojciechowski ten swój język puścił, bo „się tak męczy”. Przy okazji krytykuje dawno już przebrzmiałe „Studio lato”, kiedy to „cztery dni podawali to samo. Każdy ślad dowcipu wydłubywali i podawali na talerzyku. Już za drugim razem ten sam ślad dowcipu wydawał się coraz mizerniejszy”. W konfliktu Putrament domaga się, by Wojciechowski przepędził wszystkich doradców, bo inaczej pójdzie do Wolomina, który już ma dla niego ulicę Wojciechowskiego (Mirosława).

Coś się jednak w kraju, wbrew temu, co twierdzą (tu można wstawić dowolne, według własnego rozeznania, nazwiska) zmieniło... Nie wyobrażam sobie, aby przed dziesięcioma laty ktośkolwiek mógł w ten sposób o ówczesnym szefie telewizji napisać. No, napisać to mógł, ale nigdy ów tekst nie ujrzałby światła dziennego. Oczywiście byłbym w stanie bronić Wojciechowskiego (choć on z pewnością tego nie oczekuje), bo znam panów, którzy umieją daleko mocniej niż on przyszyjać języki, ale to temat sam w sobie. Faktem jest, że coraz mniej mamy w Polsce tematów tabu, a nawet rzecznik rządu, Jerzy Urban, musiał publicznie wyjaśniać w telewizji kontrowersje na temat podwyżek cen papierosów, zapalek i opłat telewizyjnych, chociaż 19 grudnia na konferencji prasowej dla polskich dziennikarzy różne plotki dementował. Dzisiaj właśnie wziął go w obroty red. Bronikowski, starając się w agresji dorównać red. Januszowi Atlasowi, ale Urban to nie zaleknioma owieczka z Nowej Zelandii. Przyznał, że owszem, wiedział o mającej nastąpić podwyżce cen na papierosy, ale trudno mu było o tym informować, gdyż automatycznie nastąpiłyby run na kioski. I tu Urban ma bezspornie rację, choć z drugiej strony nie by specjalnego się nie stało, gdyby papierosy zdrożały (jeśli już zdrożały miały) o kilka dni później, już w 1986 roku.

Ukazująca się w Katowicach „Panorama” wydrukowała w 52 n-ru z 23 grudnia ub.r. odpowiedź Urbana na zadane dziesięć dni przedtem pytanie przedstawicieli tego pisma. Pytanie brzmiało tak: „Na ulicy i w sklepach kolejnych słyszy się wiele o następnych podwyżkach cen żywnościowych, które mają pociągnąć za sobą podwyżki. Na ile jest to plotka, a na ile prawda?”. A oto fragment odpowiedzi rzecznika rządu: „Ci, którzy teraz w przedświątecznych dniach tłoczą się w sklepach z alkoholem czynią to niepotrzebnie. Nieprawdziwe są plotki dotyczące kawy, herbaty, środków piorących, biletów na kolej, autobusy itp.”. Rzecznik więc Urban nie stwierdził, że

papierosy nie podrożą, tzn. rzeź, jak rozumie stwierdzenie: „w dniach przedświątecznych” mogło ono dotyczyć tylko światła bożonarodzeniowego i już nie sylwestra, chociaż dla wielu rodaków święta trwają do Trzech Króli, ale wymknęło mu się po słowie „autobusy” to „i to”. Wprawdzie autobusy i papierosy to branże zupełnie inne, niemniej pewnej presji sformułowania tu zabrakło: w odczuciu społecznym — kiedy podwyżka cen papierosów nastąpiła — wyszło tak, że nie wie lewica, co czyni lewica (korekta, nie poprawia „drugiej lewicy” na „prawicę”!). Dodam jeszcze, że „Kurier Polski”, relacjonując wspomnianą konferencję, napisał, iż zdaniem rzecznika nie podrożą w tym roku używki. Miał zapewne na myśli kawę i herbatę, ale leżni czytelnicy za używki mogli uznać również wyroby tytoniowe.

A swoją drogą nasuwa się pytanie: gdzie właściwie można nabyć tę normalną herbatę, czyli paczkową w Polsce, której ceny nie ulegają (jak dotąd) kolejnej zmianie? Albo gdzie kupić rodzime proszki do prania? W gruncie rzeczy i tak skazani jesteśmy na herbatę w opakowaniach zagranicznych, która ma ten jedyny plus, choć bardzo ważny, że się nadaje do picia, czego nie można już powiedzieć o tzw. popularnej.

Żeby już skończyć z Urbanem i Bronikowskim, muszę dodać, że mnie również nie podobają się wyliczniki rzecznika rządu, kiedy mówi, ile to można było w 1982 r. za średnią płacą nabyć bochenków chleba, a ile teraz, ile pralek automatycznych itp. Zonglowanie tzw. średnią płacą nie tylko emeryta doprowadza do białej gorączki. Jeżeli ja np. jadę w teren, to otrzymuję od kilku lat tę samą dietę w wysokości 180 złotych. Stojąc się nawet w barze mlecznym, trudno za to wyżyć, a w kawiarni kwota ta starczy na kawę i ciastko. Sądzę, że wkrótce i z tego ciastka trzeba będzie zrezygnować. Ceny w restauracjach tak poszły w górę, że człowiek unika placówek zbiorowego żywienia jak ognia, zwłaszcza, iż nigdy nie wie, co się kryje pod nazwą kotlet po lubelsku czy szaszлык po wilejsku lub odwrotnie. A pamiętam rok 1948, kiedy jako początkujący dziennikarz zarabiałem do 35 tysięcy złotych (starych), a za najtańszy obiad, tzw. popularny, płaciłem 70 zł, a za klubowy — 150 zł. Żeby jednak ten hurra optymizm nie sięgał obłoków, dodam, że przejazd autobusem komunikacji miejskiej kosztował wówczas złotych 25, a złamanie licznika w taksówce — złotych 150, zaś metr „setki” — złotych 6000. Dziś za jeden dobry obiad w „Forum” można nabyć metr materiału, choć zapewne nie „setki”.

Wspominam o tym wszystkim po to, by wykazać, jak kontrowersyjne są wszelkie wyliczniki rzecznika rządu. Kiedy często ledwo starcza na żarcie, trudno mówić, że w 1982 r. na pralek automatyczną trzeba było wydać 2,1 średnich pensji miesięcznych, a teraz — niecałe dwie. Ja bym np. chętnie nabył najzwyklejszą pralkę w rodzaju dawnej „Frani” — taki już jestem konserwatysta — ale proszę mi wskazać adres, gdzie ów zakup mogę urzeczywistnić?

Jeszcze słowo, aby mój stosunek do Jerzego Urbana był zupełnie jasny: nie widzę w Polsce człowieka (nie piszę nawet: dziennikarza), który w tych trudnych dla Polski czasach potrafiłby tak rzeczowo, choć bez rękawiczek, rozmawiać z korespondentami prasy zachodniej, tej najbardziej zajadłej, odparowywać złośliwe pytania. Ludzie przychodzą i odchodzą, przędź czy później rolę bufora przejmie ktoś inny, bardziej elegancki. Oczywiście, jak sądzę, i czasy się zmieniają, stępieje ostrze ataków na nasz kraj. Może dopiero wówczas należycie docenimy Jerzego Urbana również jako wytrawnego rzecznika rządu, a nie tylko jako czolowego felietonistę?

To wszystko, o czym wyżej bynajmniej nie oznacza, że i wytrawny rzecznik rządu nie może mieć pewnych potknięć. Osobiście jednak zawsze wołałem (i wołam) ludzi, którzy jako sposób spędzania wolnego czasu podają: życie towarzyskie (patrz: „Kto jest kim w Polsce 1984” str. 1026) niż, dajmy na to, rozwiązywanie krzyżówek lub samotne nocne spacerowanie, albo też, samotne kształcenie. Chyba, że to samokształcenie następuje w czasie rozwiązywania krzyżówek bądź też podczas samotnych nocnych spacerów. W samokształcenie bardziej jednak wierzę, kiedy tańczy się ono z życiem towarzyskim. Nie zresztą nie podnosi tak własnego samopoczucia jak rozmowa z bliznim. Ale wówczas chce się przede wszystkim dokształcać bliźniego a nie siebie samego. „Dokształcać bliźniego, jak siebie samego!” Ot, i przykazanie na rok 1986! Amen!

M. A. Jaworski



# Miedzy klejem a laserem

Ireneusz J. Kamiński

**W** GRUDNIU Rada Ministrów wydała rozporządzenie w sprawie zawierania i realizowania umów wydawniczych na utwory w formie książkowej. Honoraria za arkusz autorski będą odciążone kształtowane w stałej relacji ze średnią płacą miesięczną w gospodarce społecznej, zmieniającą się, jak wiadomo, z roku na rok. Ustalono, że wysokość stawki podstawowej, wyjściowej w 1986 r., sięga kwoty 21 tys. zł. Jest to zapewne poziom demarkacyjny, możliwy do przekraczania w górę, lub w dół podczas pertraktacji na linii autor — edytor. Jakby jednak spojrzeć na sprawę, której szczegóły przedstawi dopiero Dziennik Ustaw, już teraz pisarze mają podstawy do pewnego zadowolenia. Praca nad książką była bowiem dotąd zajęciem mało opłacalnym, jako że za napisanie jednego arkusza (20—22 strony maszynopisu), co przeciętnie wymaga miesięcznej roboty, autor otrzymywał mniej więcej od 10 do 14 tys. zł, mogąc przy tym liczyć na nakład w granicach 5—20 tys. egzemplarzy, w zależności od charakteru publikacji. Nakłady 50-tysięczne uznawane były i są za bardzo wysokie, tylko nieliczni pisarze wspinali się po „kominach”, mierzących 100—300 tysięcy, skąd spokojnie mogli już delektować się zasobną perspektywą własnej przyszłości. Najlepiej wszak zarabiali ci, których książki często wznowiano.

Odpowiednia gratyfikacja pisarskiego trudu to sprawa poważna, jeśli przypomnimy, że książka ciągle stanowi główne narzędzie szeroko pojmowanej edukacji narodowej, a wiadome środowisko twórcze liczy kilka tysięcy osób, z czego około 1200 należy do Stowarzyszenia Autorów Polskich, zaś ponad 900 do Związku Literatów Polskich. Przywołując te statystyki daleki jestem od sugerowania tego, by wszystkich tych ludzi traktować jako równorzędnych twórców kultury, którym tylko z powodu przynależności do takiej lub innej organizacji należało się wysokie stawki honoraryjne. Wszelkie gratyfikacje i preferencje w sferze autorsko-edytorskiej powinny być bezwzględnie uzależnione od jakości oferowanych maszynopisów książek i od realnych potrzeb zróżnicowanych kręgów czytelników, wśród których spotykamy całą

masę miłośników np. Rodziewiczówny, co wielu strażników kultury elitarniej doprowadza do białej gorączki. Ila, ale przecież prawdą jest, że tzw. piękne i mądre, słowne i poważne modele życia kulturalnego w Polsce nie raz i nie dwa rozspiekły się na kawałki w konfrontacji z praktyką społeczną, a głównym tego powodem był brak respektu ich autorów dla sentymentów i pragnień masowego audytoryum, które nie znajdując w oficjalnej ofercie rzeczy wymarzonych, uciekało w lekturę rekompensacyjnych romansów typu „Smak miłości i lez”. Na publikacji jego tytułu, który przypadkowo trafił do redakcji „Kamena” swego czasu wysoko wyniosła swój nakład, choć w tekście owego wypracowania nie było takich stylizatorów rozwoju wielu współczesnych tygodników. Jak krew, sperma, gwałt i drobne ogłoszenia. Coś przecież w tym było, skoro po pewnym czasie „Smak miłości i lez” trafił na łamy stołecznej „Literatury”. Naturalnie, przytaczam te fakty tylko na zasadzie groteskowego przyczynku do całkiem poważnego problemu z rejonów kultury masowej, a nie jako wzór do naśladowania w praktyce wydawniczej.

Wracając do zasadniczego wątku tych uwag oznajmiam jeszcze, że moralna i socjalna osłona nad autorami z pomyślnym skutkiem zajmującymi się twórczością pisarską wydaje mi się czymś bezdyskusyjnym. Jeden z elementów tej osłony, honoraria za książki, został właśnie wzmocniony, no i dobrze. Ale czy w jakiś zasadniczy sposób polepszy to warunki uprawiania zawodu pisarza w Polsce, skoro maszynopisy książek miesiącami i latami czekają na wydrukowanie, a wydawcy bronią się przed podpisywaniem nowych umów z autorami? Stawiając takie pytanie przekraczamy już rejony indywidualnych czy środowiskowych interesów, wchodząc na teren kultury narodowej w ogóle.

W tym zaś obszarze widzimy to, co wszyscy: fatalną sytuację w poligrafii, która doprowadziła do 50-procentowej redukcji tytułów książek publikowanych w kraju. Konkretnie: z 10 do 5 tysięcy. Dodajmy, że druki książkowe stanowią tylko 25 proc. całej produkcji ogółu takich zakładów w Polsce.

Upadek poligrafii rozpoczął się w 1976 roku, po-

głębiając się z upływem czasu. Wykorzystały się maszyny, zaczęło brakować części zamiennych, no i środków na renowację tej bazy. Pojawiały się trudności z pozyskaniem odpowiedniej ilości papieru. Na domiar wszystkiego, już w ostatnich latach, z poligrafii odeszły tysiące pracowników — do fabryk samochodów, do prywatnych zakładów rzemieślniczych i kiosków z hot-doga. Szczególnie dotkliwie odczuły to działy tzw. składu gorącego oraz introligatornie ręczne, gdzie praca była i jest uciążliwa.

Ten kryzys udało się przyhamować, ale wiele wysiłku będzie nas kosztowało faktyczne powstanie poligrafii na nogi, w takiej pozycji, by sprostała potrzebom kraju. Jest to bowiem terapia bardzo kosztowna, szacowana na 40 mld zł (drukarnie) i 175 mld zł (przemysł papierniczy) w tej 5-letce.

Jak to się mówi, problem nabrał wagi państwowej. Prezydium Rady Ministrów przyjęło niedawno program odbudowy i rozwoju poligrafii, opracowany — co ważne — niejako oddolnie, z udziałem wszystkich gestorów tej branży. W najbliższym czasie przy ministrze kultury i sztuki zacznie działać rada programowa ruchu wydawniczego, w której skład wejdą m. in. edytorzy, pisarze, księgarze, bibliotekarze, drukarze... Myśli się o utworzeniu funduszu rozwoju poligrafii, już teraz przyznając jej trzykrotnie więcej środków niż dotąd praktykowano, podwyższając limity dolarowe z ośmiu do 20 mln, z możliwością dodania jeszcze kilku.

Powinniśmy uważnie śledzić skutki tych przedsięwzięć — by programy były realizowane, a limity wypełniane do końca. Powinniśmy to robić nie w interesie takiego lub innego środowiska twórczego, ale dla dobra naszej kultury.

Jeśli zaś chodzi o szczegóły, to powiedzmy wreszcie, że poligrafii brakuje dobrego kleju oraz systemów elektronicznych czy laserowych do nowoczesnego składu (28 milionów znaków na godzinę), a jeśli te ostatnie znajdują się nawet — istnieją takie możliwości — to nie będą chciały współpracować z naszym papierem, który drze się pod pieczęcią zbyt wyrafinowanej techniki. Jak widać, nawet pisarz o formacie geniusza nie jest u nas w stanie spłodzić dobrej książki bez pomocy kleju, papieru i lasera.

## Jeden kiosk i dwieście pism...

Henryk Więclawski

„W jednej gospodzie w Lubli mieliśmy kłódkę o to, czy kapelusznik Vaszka, który nam zawsze psuł zabawę, należy wyrzucić natychmiast, jak tylko się pokaże w drzwiach, czy też dopiero potem, gdy każe sobie podać piwo, wypije i zapłaci a także zastanawialiśmy się, czy trzeba mu ścinać buty po pierwszym tańcu”.

„Dobry wojak Szwejk”

**P**RZY Łopacińskiego 3 w Lublinie od ponad roku stoi pokaźnych rozmiarów drewniany kiosk, przeznaczony na kwiaty. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że kiosk, okolony żywopłotem, stoi na chudym przybłokowym trawniku. Może i to nie raziloby tak bardzo, jako że wszystkie tego typu obiekty stoją w Lublinie na trawnikach, gdyby kiosk był nieco mniejszy i gdyby nie przeszkadzał mieszkańcom. A przeszkadza!

Dwa lata temu pani Małgorzata Jastkowiak postanowiła sorzedować kwiaty, towar chodliwy, umilający życie. I inne osoby podjęły podobne postanowienia. Kwiatciarz zresztą i tak zbyt wiele w Lublinie nie mamy. Sorzedawcom idzie raz lepiej, raz gorzej, jak to w handlu. Ale pani Jastkowiak jeszcze w ogóle nie idzie...

Może jednak od początku. Pani Jastkowiak ukończyła prawniczy kurs i w marcu 1983 roku wystąpiła do Rejonowej Spółdzielni Ogrodniczo-Pszczelarskiej z wnioskiem o zezwolenie na podjęcie stosownej działalności. Sugrowała także lokalizację przy Alejach Racławickich. W tej branży, jak wiadomo, miejsce w określonym punkcie miasta ma znaczenie podstawowe. W listopadzie tegoż roku, czyli osiem miesięcy po wniesieniu wniosku, a więc czasu na rozpatrzenie wszystkich „za” i „przeciw” było dosyć, decyzja Urzędu Miejskiego, i to pozytywna, zapadła. Ruszyła budowa.

Rychło okazało się jednak, że teren należał do... Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, uczelni o dużych perspektywach inwestycyjnych. W miarę jak rosły drewniane ścianki, rosło i porzytowanie władz uczelni. Najpierw interweniował ksiądz kanonik, potem ksiądz dziekan, w końcu sprawa zajął się Senat. Wówczas pani Jastkowiak sama zrezygnowała i znalazła nową parcelę. Punkt może nieco gorzki, ale nie opodal: ul. Łopacińskiego 3.

W maju 1984 r. pani Jastkowiak wystąpiła do Urzędu Miejskiego o zmianę lokalizacji. Pozytywna decyzja za-

padła 23 czerwca, a 17 lipca w godzinach popołudniowych kiosk przeniesiono na nowe miejsce: wprost na waski trawnik, w sąsiedztwie wysypiska żwiru i odrapanych garaży.

Budynek mieszkalny przy ul. Łopacińskiego 3 nie wygląda dobrze, od dawna orzydałby mu się remont. Brak tu centralnego ogrzewania i gazu. Teren wokół budynku zduszony jest między pocztą a ulicą. „Nie mamy nawet placu zabaw dla dzieci — mówią mieszkańcy. — Od lat walczymy z pocztą, żeby zechciała gromadzić zapytania węgla na specjalnym placu po drugiej stronie, ale to plac betonowy. Najlepiej czują się tam samochody, a żużel leży na naszym odtworu. Przed kilku laty, w czynie społecznym, zagospodarowaliśmy trawnik, obsadziliśmy go krzewami i wyolegnowaliśmy rabatki. To jedyny skrawek zieleni, jaki pozostał przy tym okropnym podwórku”.

I właśnie 17 lipca mieszkańcy, ku swej ogromnej irytacji, ujrzeli na swoim trawniku okazali drewniany kiosk. Wkrótce tłum podnieconych ludzi rozrósł się szybko do kilkudziesięcioposobowej grupy. Dołączyli gapię. Wszyscy głośno wyrażali swoje oburzenie. Ponieważ mogło dojść do rękoczynów, musiała interweniować Milicja Obywatelska. Przybył także przedstawiciel Urzędu Miejskiego, który sporządził odpowiednią notatkę. Urząd nakazał przerwanie robót i zażądał zebrania samorządu mieszkańców celem wysłuchania głosu opinii społecznej. Po burzliwej debacie Komitet Obwodowy Samorządu Mieszkańców podjął decyzję o... utrzymaniu lokalizacji. Stwierdzono, że kiosk w tym miejscu nie przeszkadza nikomu, a kwiaty też są potrzebne. W tym duchu wypowiedzieli się później radni. Urząd Miejski miał jednak odmienny pogląd i propozycje samorządu odrzucił. Zaproponowano pani Jastkowiak ponowne przeniesienie obiektu, tym razem już na tej własnej podwórku przy ulicy Dubois. I na tym cała sprawa mogła się zakończyć, ale zapomniana, młoda, choć skądinąd uroczą ulicę Dubois, to nie aleja. Ani nawet ulica Łopacińskiego. Kto zbliżyłby tam po kwiaty?

Pani Jastkowiak odwołała się do Urzędu Wojewódzkiego, a tymczasem kiosk bez dachu nadal straszyl gołymi ścianami, irytował i marniał. Klóreś nocy powybijane w nim szyby.

W tzw. międzyczasie do sprawy dołączyła się nowa strona: trawnik okazał się własnością Garnizonowej Administracji Mieszkaniowej. Większość mieszkańców bloku przy Łopacińskiego 3 to byli lub obecni wojskowi. GAM nakazał likwidację kiosku w ciągu siedmiu dni.

Pani Jastkowiak znów odwołała się, tym razem do Wojewódzkiego Rejonowego Zarządu Kwaterunkowo-Budowlanego. Każdemu jej odwołaniu towarzyszyło kontroldowanie mieszkańców.



Rys. Jacek Hordejuk

„Gdyby ten kiosk był przynajmniej mniejszy. Ale to hangar. Obawiamy się, że tu nie chodzi o kwiaty” — słysze taka opinia.

Konflikt wkrótce w nową fazę. Z podejrzliwości wobec martwego przedmiotu zrodziła się podejrzliwość w stosunku do jego właścicieli. Z kolei podejrzliwość, wskutek długotrwałości biurokratycznej karuzeli, przerodziła się w nienawiść, zaczęły się wzajemne pomówienia i insynuacje. Do kręgu niechęci dołączono i leśników pani Jastkowiak, ludzi skądinąd bardzo zasłużonych dla miasta. Cała ta rodzina. Zaczęto wypatrywać, kto i jakim samochodem jeździ. Konflikt administracyjny przerodził się w konflikt społeczny. Za przerychanką trwała ponad rok, zaangażowała czas i pracę ogromnej rzeszy ludzi, poruszyła wiele instytucji: dwa ministerstwa, władze party-

ne i administracyjne województwa i miasta, komitety samorządowe mieszkańców, zespoły radnych. Kioskiem zajmował się „Kurier Lubelski” i „Sztandar Ludu”, a także lubelskie radio. Parcele wizytowały dwie komisje wojskowe. Wymieniono w tej sprawie około dwustu pism!

I wreszcie nadszedł dzień 29 października 1985 roku: pani Jastkowiak otrzymała wiążącą decyzję o... utrzymaniu lokalizacji.

„Jestem tym wszystkim totalnie zmęczona — mówi. — Do nikogo nie czuję nienawiści. Walczyłam tylko o swoją sprawę na drodze prawnie dopuszczalnej obywatelowej. Nigdy nie przekroczyłam żadnych przepisów. Trudno mi nawet odczuwać satysfakcję. Pozostał mi tylko jakiś rodzaj zrezygnowanego spokoju i cień żalu”.

Mimo prawnej ostateczności decyzji mieszkańcy zapowiadają jednak kontynuację walki. Posypia się nowe odwołania. Czy nadal niemal 400-tysięczny Lublin będzie jeszcze żył kioskiem kwiatowym in spe przy Łopacińskiego 3?

Ten konflikt jest tak bardzo nasz, polski, a może zwłaszcza lubelski, że aż w pewnym momencie przestaje być dziwnym. Z pozoru błaża sprawa stała się problemem społecznym. Rozdmuchała emocje, których załagodzenie wydaje się obecnie bardzo odległe. Jest w niej sporo z pieniężstwa i ogromny upór godny lepszej sprawy. Gdzieś po drodze zagubił się rozsadek i zatarła jasność widzenia. Z drewnianych ścian uśmiechała się sztywno twarz Cześnika i Rejenta. Moim zdaniem ten konflikt ma i swój kompromisowy wymiar, oscyluje dokładnie między Szwejkizmem i Hellarem. Brak mu, nawet podniosłości pure nonsense'u Pintera.

„Proponowaliśmy, by przenieść ten kiosk na betonowy plac obok poczt. Z narożnych okien w naszym bloku nie poza nim już nie widać” — mówią mieszkańcy.

Może to kilka metrów na kawozie zamknęłoby tę dziwną sprawę?

Opisany tu konflikt to jedna z dwóch tysięcy ośmiennych skarg skierowanych w 1983 r. do Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Lublinie z prośbą o interwencję.



**E**REWAN liczy „zaledwie” ponad milion mieszkańców. A przecież jeszcze w 1920 roku Erewan był miastem 30-tyśięcznym! Dopiero po proklamowaniu w Armenii socjalistycznej republiki radzieckiej (29 października 1920) Erewan pobił światowy rekord szybkości rozwoju architektonicznego i społeczno-gospodarczego. Tradycję połączonego tu z radziecką dynamiką nowoczesnego rozkwitu. Obserwacja ulic dostarcza egzotycznych doświadczeń. Ruch na jezdni wrze w ściebie południowym stylu: kierowcy trąbią na siebie bez przerwy, lawirując między potężnymi ciężarówkami, bez mrugnienia okiem przejeżdżając podwójne linie ciągle w dowolnych kierunkach, a za punkt honoru uważają jazdę „okrakiem” na linii ciągłej, idealnie uchwycionej między koła. Na zegarze miejskim 14.15 a na naszych — naszych to jest członków oficjalnej delegacji ZG ZLP — zegarkach dopiero 13.15. Co jest, przedstawialiśmy przecież już nasze czasomierze w Brześciu?! Oczywiście, do tamtych dwóch godzin czasu moskiewskiego trzeba „pogonić” zegarek o kolejną godzinę: to już w sumie trzy godziny różnicy!

Jedziemy z lotniska w kierunku hotelu „Ani”. Mijane domy goreją bajecznymi odcieniami różu i zieleni, fioleto i złota. Taka kolorystyczna moda? Przywołuję z pamięci gorąco wylaczone przed wyjazdem słony przewodnik turystyczny i encyklopedię. Tak, to przecież nie farba, a naturalny kolor wulkanicznego kamienia. Większość budynków zbudowana jest z tufu, czyli stwardniałego popiołu, wypływającego ongiś od tysięcy lat przez Ararat. Pojęte równiutko kostki przypominają w dotyku szorstki pumeks, ale są znacznie cięższe i twardsze. Nie brak monumentalnych konstrukcji z bazaltu, granitu i szlachetnego marmuru.

Zwiedzanie Erewanu rozpoczynamy od wzgórza narodowej tragedii — Cycznakaberd (pow. 140 ha). Zbudowano tu pomnik ofiar rzezi Ormian. Bezchmurne niebo kluje szpic 40-metrowego obelisku, a obok ogromne okrągłe mauzoleum. Prostokątne bazaltowe głazy pochylają się wokół wiecznego ognia w zneruchomiałym skupieniu pamięci. Spod krawędzi gorejącego znicza przez całą dobę wydobywa się przejmująca bólem muzyka. To — jakby głos dwóch i pół miliona Ormian, wymordowanych w kwietniu 1915 roku przez Turków i usługujących im Kurdów. Dzieci na oczach matek zanurzane główkami w kadziach z wrzatkami. Pisarzy, artystów i uczonych obdzierano żywcem ze skóry. Turecka dzicz święciła triumf, tureckie „drang nach Osten” przy aprobacie Niemiec i bierności europejskiej opinii publicznej... Skąd my to znamy?

Wybitny kompozytor armeński, Komitas, na wieść o rzezi dostał omdlenia zmysłów i tuż do końca życia przeżywał w paryskim szpitalu oschłotywnym Monument ten Ormianie zwa „genocid” co oznacza — ludobójstwo. Kiedy Metakse (ormiańska osetka, gospodarz naszego pobytu) opowiada o tureckim barbarzyństwie w tej oczach „polawiają” się iży. Czujemy się nieswojo, trochę jak reprezentanci obywateli Europy... A przecież losy naszych narodów przebiegają się żywiliwie tuż od 1410 roku, kiedy to w bitwie pod Grunwaldem u boku Jagielly walczyli oddziały ormiańskie. „Wszystkie nieszczęścia nadciągają od zachodu” — stwierdził Sere Chanzanjan, wybitny prozak kombatan II wojny światowej, żołnierz Armii Radzieckiej, który wyzwalał Polskę. I jest w tym stwierdzeniu wiele słowności prawdy historycznej. Powiedział to reprezentant narodu który mimo niewielkiej liczby — dal Armii Czerwonej czołowe marcewki i 36 generałów a 104 armeńskich żołnierzy i oficerów otrzymało najwyższe odznaczenie — zasług na polu walki — tytuł Bohatera Związku Radzieckiego.

### Bez całowania po rękach

Wstyd przyznać, jak niewiele dotychczas wiedziałem o Armenii (czy tylko ja?). Koniak „Ararat” „Taniec z szablami”, no i jeszcze jakieś młliste polecie o kupieckich talentach Ormian. Tymczasem okazało się, że stolica Armenii, Erewan, jest miastem starszym o około 40 lat od Rzymu, założonym w 782 roku przed naszą erą jako potężna twierdza Erebuni. Kolejną chrześcijańską również nie jest Rzym, a... Armenia, gdzie chrześcijaństwo przyjęto jako religię państwową w 301 r. naszej ery. Dla

porównania: Rzym — 313 r., Gruzja — 435.

Zwiedzamy centrum religijne Armenii — położony 20 km na zachód od Erewanu Eczmiadzin, siedzibę patriarchy ormiańskiego — Katoikos Wazgien I. Nazwa ta nie ma nic wspólnego z katolicyzmem. Kościół ormiański już w V w. wywołał się spod zależności Rzymu i kultuwy gregoriański obrządek według świętego Grzegorza Oświeciciela, z zachowaniem języka staroarmiańskiego w liturgii, z szacunkiem dla godności człowieka, bez śladu faryzeuszowskiej nychy... Katolikos przez wiele stuleci był głową państwa armeńskiego i dbał o jego interesy. Przed bazyliką w Eczmiadzinie, najstarszą katedrą chrześcijańską w Europie (początek IV wieku), oglądamy sarkofagi sześciu katolikosów. Jeden z nich podpisał sojusz z Rosją.

Audjencję u głowy kościoła Ormian całego świata mamy wyznaczoną na jedenastą. Mijamy rosnące na dziedzińcu ormiańskiego Watykanu swojskie wierzby płaczące i białe pnienie platanów. Przed oblicze patriarchy prowadzi nas jego sekretarz, niepełna 30-letni absolwent kilku fakultetów (w tym historii sztuki), piastujący godność jeromonacha (pierwszy z najwyższych stopni w hierarchii kościoła gregoriańskiego, przy którym obowiązuje już celibat). Katolikos Wazgien I jest 77-letnim staruszką o posiwiałych skroniach i pełnym godności obliczu, ubranym w prostą czarną szatę. Uosobienie skromności, nie ma tu żadnego klękania czy całowania po rękach. Opowiada nam po francusku historię Eczmiadzinu (dawną nazwa: Wagaršapat) i apokalipsę narodu ormiańskiego. Pada pytanie o stosunki państwo — kościół. Przydaje się biegła znajomość francuskiego przez panią Barbarę Nawrocką-Dońską, która z konieczności pełni funkcję tłumacza. „Armenia zawsze broniła chrześcijaństwa, a armeńskie chrześcijaństwo nigdy nie zdradziło swojego państwa” — stwierdza katolikos, patriarcha Ormian całego świata.

Musimy pamiętać, że oprócz 3,5 mln Ormian w radzieckiej Armenii tyleż samo żyje za granicami rozkwitającej na kamieniach ojczyzny, głównie w USA (ponad milion) i Francji. Chociaż obecnie niewierzących Ormian w radzieckiej Armenii jest większość, wszyscy traktują obrzędy kościelne ze szczególnym sentymentem, pomni na ogromne zasługi katolikosów dla przetrwania armeńskiej państwowości, a Eczmiadzinu dla ocalenia języka, armeńskiej kultury i nauki.

### Złoto na metry

Po wykładanych białobrazowym marmurem z Carrary salach muzeum-skarbca armeńskiego Watykanu oprowadza nas sekretarz-jeromonach, który — jak się okazało — piastuje też funkcję dyrektora tegoż muzeum. Podziwiamy zachowaną w zupełnie dobrym stanie chorągiew bitewną (tkanina z V wieku), a obok lśni czara, w której co 7 lat gotuje się przez 72 godziny w świętych olejach 40 gatunków kwiatów z całego świata, mieszanych z łotą reka świętego Faddieja jednego z dwóch apostołów, którzy w I w. naszej ery szerzyli chrześcijaństwo w Armenii. Z zaciekawieniem oglądamy symbole godności biskupiej, noszone w uroczystym pasie okrągłe panagije, wysadzane perłami i diamentami. A kiedy jeromonach otwiera drzwi pancerne, za którymi spoczywają kolejne dary od Ormian całego świata, dech nam zapiera i mrużymy powieki, osłepieni blaskiem liter ormiańskiego alfabetu, wykutych ze szeregów złota a wysadzanych diamentami i brylantami. Złote dzieło włoskiego mistrza ma co najmniej dwa metry wysokości! Dalej: ogrom-

ny złoty krzyż armeński, rozkwitający u dołu w kształcie kwiecistej kotwicy. Wreszcie: złota mapa Armenii, z herbem i symbolami czterech dróg rozwoju państwa: sztuka, nauka, przemysł i rolnictwo. Pospiesznie opuszczamy muzeum. Zaczęło się już bowiem uroczyste niedzielne nabożeństwo. Rząd dostojników kościelnych w fioletowych szatach i czarnych kapturach z krzyżem zaczął już miejsce. Jako specjaliści goście katolikos siedzą na honorowych miejscach przez samymi ołtarzem, tuż obok łóż patriarchy. I oto wzrok mój padł na coś, co nawet po niedawnych przeżyciach muzealnych jest dla mnie szokiem: malarstwo na marmurze, unikat w skali światowej!

Jeszcze nie ochłoniłem, kiedy pod sklepienie świątyni uciekały gregoriańskie śnieży. Wśród słownie ubranych w różowe szaty i białe koronkowe chusty chorągiewek rozpoznaję jakby zna-

przed oczyma jak nudy na fortepianie. Tkanie takiego dywanu trwa od czterech do pięciu miesięcy!

Aleja cyprysów dochodzimy do kompleksu pomników (również według projektu R. Israeliana), wzniesionych w 50 rocznicę bitwy decydującej o losach Armenii. Między 22 a 26 maja 1918 roku na polach wieki Sardarapat potężna armia turecka została rozbita przez pięciokrotnie słabszych Ormian, dowodzonych przez bohatera narodu, Andronika Ozaniana. Mijamy rząd imponujących wielkością orłów z tufa — ustawionych wzdłuż szerokiej promenady — dochodzimy do centralnego pomnika: prosta konstrukcja czterech pionowych słupów z zawieszonymi w jej górnej części 12 dzwonami (symbol dzwonienia w cerkwiach na alarm przed bitwą z Turkami). Tej oryginalnej „dzwonnicy” strzegą ogromne kamienne

# Wśród Ormian

Henryk Makarski

### Ararat i NATO

Droga z Eczmiadzinu do Sardarapatu (dzisiejsza nazwa: Oktemberian) wysadzona jest smukłymi topolami. Przed wejściem na salę wystawową największego w Armenii muzeum etnograficznego — myjemy ręce, zgodnie z panującym tu obyczajem. Wymóg higieny to, czy rytualny symbol hołdu dla zabytków ojczyzny? Imponujący rozmachem gmach muzeum powstał w 1978 roku według projektu Rafaela Israeliana. Dopiero na usytuowanej tu plastycznej mapie widać jak na dłoni jak niewielka jest ta 1/10 obszaru, ocalała z historycznej Armenii równie ongiś obszarem współczesnej Polsce. Szukam najstarszych śladów cywilizacji i zatrzymuję się koło kamiennych idoli z XIII—XII w. przed naszą erą, prymitywnych sylwetek człowieka z rękami podniesionymi do góry. Tu kolejny szok: bieleją wykute na ich czołach swastyki! Któż dzisiaj (zwłaszcza wśród młodzieży) wie, że swastyka to znak starożytnych Persów, symbol ognia, słońca i siły? Perskie orły o prostych skrzydłach też przypominają te z hitlerowskich mundurów... Z okresu XIII—X w. p.n.e. pochodzą ozdoby ze szkła — barwne talizmany, zaś w IX w. p.n.e. powstały zapisy, wykonane na 400 ze zgromadzonych w muzeum kamieni. Oto miedziany rycerz ze lwem na łancuchu, bóg słońca i pokoju, Metryka? XII wiek, oczywiście p.n.e. Idziemy dalej i widzimy wyraźnie, jak około II—I w. p.n.e. miedź zostaje zastąpiona brązem. Panie wrastają przed gabiolami z białą tarczą z II—I w. p.n.e. (m. in. fascynujący krwawnik). Wiele pomyślowych rozwiązań widać w ekspozycjach ze sprzętem gospodarstwa domowego: oto króciutka kosa niczym sierp o prostym ostrzu; oto kaganiec ze skóry jeża, nakładany na pysk cielaczka, żeby ponad miarę nie wysysał mleka. Popularnym daniem w armeńskiej starożytności była reszta — lepiony z ciasta makaron z młodem. Maselnica na kijach huśtana jak kołyska, dzbany do soli z głowami bogini urodzaju, noworoczne ciasteczka w kształcie ludzików — te domowe rekwizyty wywołują dziwnie domowy skurcz serca. W sali dywanowej mamy okazję zobaczyć, jak ongiś tkano się słynne „persy”. Młoda drobniutka Ormianka siedzi przy krosnach i z benedyktyńską cierpliwością nanizuje kolorowe nitki na osnowę, zawiązując sprytnie i końcówki obciąża nożykiem. Jej ruchy są monotonne ale szybkie i pewne; nawet nie spogląda na wzór postawiony

sywety dwóch asyryjskich byków z czerwonego tufu, które pyski mają z rzadkiego w tych stronach tufu czarnego. Całość imponuje rozmachem, wywiera duże wrażenie na turystach i — jak przypuszczam — stanowi symboliczną przestrożę dla



Sardarapat — pomnik zwycięstwa nad tureckim barbarzyństwem.

Fot. Józef Narkowicz

Turków. Stąd przecież tylko 3—4 km do granicy, a widoczność znakomita, strażnice tureckie widać jak na dłoni... Biała czapa Araratu też rysuje się wyraźnie, że tylko ręką sięgnąć. Święta góra Ormian nie jest już ormiańska własnością, depczą wokół niej patrole tureckich żołnierzy. Pilnują, by nie uciekła? Raczej: zapewniają ochronę lokatorom Araratu, bowiem na świętej górze Ormian znajduje się amerykański ośrodek wywiadowczy, specjalna placówka NATO...

Zegnam się z pięknymi ludźmi o smagłej cerze i ciemnych włosach. Piękni nie tylko urodą, ale przede wszystkim uporem, pracowitością, z jaką dbają o rozwój ocalałego z pogromów tureckich skrawka kamienistej, ale ojczystej, ziemi.

Różne były koleje losu światłego narodu, który w ustroju socjalistycznym znalazł warunki do nieskrępowanego rozwoju. Radziecka Armenia, to nowoczesny przemysł i wydajne rolnictwo. Nowoczesność nie stworzyła się sama. Potrzebne było pracowite uparte serce, wielkie serce ormiańskie.



# O kogutach, tradycji i odpowiedzialności

Marta Denys

**K**OMINKIEM snuje się niebieski dym. Cała Nadrzeczna pachnie świeżym chlebem. A skoro pachnie, to znak, że w oknie niebawem pojawią się raki i koguty. a na półkach ciepłe bochenki, cebularze i bułeczki z dżemem, a może i czarnymi jagodami. W piekarni braci Sarzyńskich będzie tłoczno, aż do ostatniego koguta i cebularza. Wypieki te są równie atrakcyjne w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą, co i kazimierskie ruiny zamku, baszta, fara i lody u pana Wygędały. A może nawet i bardziej? Na basztę nie wszyscy mogą się wspinać, a koguta kupić musi każdy na pamiątkę. Dla miejscowych jednak najważniejszy jest chleb powszedni, i do jego to głównie wypieku służy wiekowa piekarnia przy Nadrzecznej 6. Ma chyba ze 400 lat, ale gdyby nie było to precyzyjne określenie jej wieku, to i tak jest aż nadto sędziwa. Chleb piecze się tu od niepamiętnych więc czasów w piecu tradycyjnym, opalanym węglem i drewnem, na tak zwanym trzonie — dwupiętrowym, z popielnikami i sześcioma luftami.

Owe słynne koguty, raki, labędzie i bardziej już finezyjne w formie herbowe orły — znaki cechowe są wypiekiem ubocznym. Po wyjęciu chleba i bułek piec jest jeszcze gorący, szkoda go wygaszać. „Idzie” więc do niego całe to ptactwo z maślanego ciasta. Po toruńskich piernikach, jarońskich lukrowanych „sercach” — kazimierskie koguty są następny oryginalnym przykładem sztuki piekarskiej. Stąd też cieszą się popytem i zainteresowaniem. Ostatnio nawet i PLL „Lot” zamyśla wprowadzić je — w odpowiednim opakowaniu — na pokłady samolotów jako osobliwy polski souvenir.

Jak się okazuje, koguty do Kazimierza „przyleciały” z... Motycza. By wyjaśnić tę sprawę, należy zrobić zwrot ku rodzinnej tradycji. I tu jesteśmy już przy sednie naszej rozmowy z panem Cezarym Sarzyńskim — mistrzem piekarskim z konieczności, inżynierem budownictwa statków żeglugi śródlądowej z wykształcenia, kazimierzaninem z miejsca zamieszkania i pracy, przewodniczącym kazimierskiej Rady PRON — ze społecznego powołania.

A więc tradycja: pradiadkowie i dziadkowie pana Cezarego byli pieka-

rzami. Dziadek ze strony matki, Jan Falkiewicz, piekł chleb na Grodzkiej w Lublinie, a potem w wojskowych piekarniach. W 1915 roku Urząd Starzych Zgromadzenia Piekarzy w Lublinie wyzwoił go na czeładnika, polecając, jako „zdarnego i pracowitego rzemieślnika”, jak czytamy na pięknie przez pana Jarzyńskiego litografowanym dyplomie w języku polskim i rosyjskim — rodzinnej pamiątce po dziadku. Oczywiście dziadek został później mistrzem piekarskim. Ojciec pana Cezarego też miał piekarnię w Lublinie i Motyczu. I stamtąd to właśnie przywiózł „te” koguty do Kazimierza — jeszcze w latach 60-tych — jeden z ojcowych pracowników. Edward Bajer, Piekarnik na Nadrzecznej 6 prowadził w tym czasie Hemperka, uczeń dziadka pana Cezarego. I dla jego to córki, panny Hemperkówny, w upominku te maślane koguty z Motycza dostarczał pan Edward. Wypiek ten spodobał się i dość szybko przyszedł w piekarskiej produkcji Hemperka.

Po nim piekarnię przy Nadrzecznej 6 objął ojciec Cezarego Sarzyńskiego, „firmowo” już piekąc owe zmysłne figurki ptaków, raków i ryb. A kiedy trzeba było zastąpić ojca przy dziełach i piecu, obaj bracia, Krzysztof i Cezary, wraz z matką postanowili podtrzymać tę rodzinną, piekarską tradycję.

Jak już wspomnieliśmy, pan Cezary innego był fachu, ale rodzinna potrzeba i konieczność zdecydowały o przekwalifikowaniu się, rezygnacji z dotychczasowej pracy, m.in. dyrektorstwa belżyckiego SPOMASZ-owi. Nie pytam, czy pan Cezary żałuje tej decyzji. We wrześniu ubiegłego roku kazimierski Dom Kultury urządził pierwszą w kraju wystawę pieczywa artystycznego z piekarni braci Cezarego i Krzysztofa Sarzyńskich...

W programie kazimierskiej Rady PRON, której od roku przewodniczy pan Cezary, akcentuje się m.in. sprawę uaktywnienia rzemiosł niezbędnych dla Kazimierza, zintegrowania i poprawienia słabych punktów w ich funkcjonowaniu. Na przykład — mówi pan Cezary — przy ul. Senatorskiej stoi już od pewnego czasu wyremontowana kuźnia L... nie ma do niej chętnego kowala! Jest w Kazimierzu Zespół Szkół Zawodowych, po których ukończeniu młodzież ze specjalnością

mechanika, z braku możliwości zatrudnienia na miejscu „ucieka” z Kazimierza. Miastu brakuje mechaników, potrzebni są jeszcze i stolarze, cieśle, murarze, a tych ani na lekarstwo. Nie mówiąc o kowalu. Sprawa więc Rady PRON będzie zasugerowanie takiego programu dla miejscowego szkolnictwa ponadpodstawowego, by nie odrywało ono wszystkiej prawie młodzieży od



Cezary Sarzyński.

środowiska i miejsca zamieszkania, a dawalo fach i wykształcenie zachęcające do pozostania tutaj. Rozwój bowiem rzemiosła w Kazimierzu Dolnym byłby jego poważną gospodarczą szansą. Oczywiście przy założeniu, iż sprzyjać mu będzie klimat stabilności i opłacalności. A także i społecznego zrozumienia.

Inną, ważną sprawą z gospodarczego punktu widzenia dla Rady PRON jest gazyfikacja Kazimierza. Od dawna już przemawiają za nią względy ochrony środowiska. Nad Kazimierzem

zasłoniętym wzgórzami nisko chodzą dymy. Jest tu pięknie, lecz czasami nie ma czym oddychać. Oczyszczenie powietrza przez eliminację „kopających” kotłowni oraz wygoda mieszkańców należą tu do ważkich argumentów. Projekt techniczny i odpowiednie uzgodnienia już są. Z inicjatywy Rady PRON powołano Społeczny Komitet Gazyfikacji, który będzie śledził tok prac oraz realizację zobowiązań mieszkańców. Gazyfikację miasta, ochronę środowiska, zabytków dofinansowuje się z różnych źródeł, m.in. z kłód pracy, które posiadają tu domy wypoczynkowe.

Przedmiotem starań rady jest także telefoniczna Kazimierza. Ministerstwo Komunikacji obiecało przekazać miastu centralę automatyczną. I to na razie byłby pierwszy etap sprawy.

Do najtrudniejszych jednakże problemów, stojących przed miastem, władza i Rada PRON należy m.in. budownictwo mieszkaniowe. Powoli jednak zaczyna się coś dziać i w tej materii.

W naszej rozmowie z panem Cezarym Sarzyńskim dotknęliśmy różnych dziedzin życia mieszkańców Kazimierza, w których inspiracja i pomoc Rady PRON we współpracy z Urzędem Miasta i Gminy, komitetem partii organizacyjnymi mają istotne znaczenie. Do ruszenia jednak z miejsca wielu trudnych zagadnień potrzebne jest także i zaufanie mieszkańców, które zbudować można jedynie na odpowiedzialnym wywiązaniu się z podjętych działań.

Zatem poczucie odpowiedzialności wysnute z rodzinnej, rzemieślniczej tradycji, własnego charakteru i doświadczeń, wymagań stawianych sobie i kierowanemu przez siebie kolektywowi jest warunkiem sensownego działania. — „Jeśli podejmuję sprawę, to tak, które czuję się na siłach zrealizować, by nie zawieść społeczeństwa” — tak sumuje naszą rozmowę pan Cezary Sarzyński.

Zaczęliśmy ją od drabnostki, okrucichów przeszłości, by ulepić z niej kształt ważnych codziennych spraw miasta i jego mieszkańców oraz ludzi, którzy swą społeczną pasją, z poczuciem wspomnianej odpowiedzialności mogą przyczynić się do ich rozwiązania.

## „DEZODOROSTUDENTHANDEL”

**P**OWRACAMY do tematu akademickiego kupowania, patrząc nań przecież pod kątem nieco odmiennym od tego, który przyjęliśmy w październikowym teście „Student sprzeda” („Kamena” 1983/20). W samej materii sprawy pojawiły się zresztą nowe elementy, które dowodzą, że młodzież nie idzie na żywioł, lecz kieruje się zasadami racjonalnej polityki ekonomicznej, naturalnie sprężonej z potrzebami rynku, tym właśnie różniąc się od niej jednego ciała samorządowego czy administracyjnego, zawiadującego dorosłym przedsiębiorstwem państwowym. Nie lekceważmy tej orientacji, bo młodzież ma przedstawicieli w rządzie i są przyszłością narodu. Ad rem.

Z kolejnej serii inzeratów, jakie w grudniu eksponowano w lubelskiej dziesiątce uniwersyteckiej, postępując się pniekami i płytą pilśniową, wynikało niezbicie, że nasi studenci twarzą chodzą po ziemi polskiej i obcej, nawet szaryte, i ładnie płać losowe (np. deszczu w zimie) nie są w stanie zachować ich równowagi aksjologicznej, zakorzenionej w materialistycznej koncepcji świata. Wśród takich ogłoszeń spotkaliśmy co prawda, kilka dni przed Wigilią, afisz klubu turystyki rowerowej „Wentyl”, który zawierał styczeń członków na zebranie obywateli opłatka i spieniężenie kolegów przy akompaniamencie gitary, ale wydawało się, że były to tematy akcydentalne, albowiem wyraźnie upadły w oko inny punkt porządku tego zgromadzenia, mianowicie „wycechka do Turcji”. kraju inkrustowanego wszak precjozami i kożuszkiem.

Cheć udowodnić, że studenci mają kłopoty na miejscu, kierując się rozumem a nie jakąś tam głupią intuicją, podaliśmy owe inzeraty metodycznej systematyzacji według kryteriów stosowanych w handlu zamorskim i węgierskim...

Wiadomo, grudeń i spotkanie się tego miesiąca ze styczniem to okres obfitej dekoracji różnymi świętami, które w wielu zakładach pracy próbowano zresztą skomponować tak, by słodkie lenistwo trwało bez mała dwa tygodnie. Niesłusznie, rząd nie przysłał na takie rozwiązanie,

choć autorzy pomysłu święt wydułanych wydobyli z głowi, samodzielnie i samorządnie, wiele argumentów: ekonomicznych i moralnych, potracając ponoc zdów o „strunę japońską”, ale jakby zapominając, że na drodze do tego odległego kraju leży np. Bangladesz. No cóż, znajomość geografii (także politycznej i gospodarczej) nigdy nie była perłą w koronie naszej edukacji narodowej, wykluczając oczywiście lata międzywojenne, kiedy to każdy uczeń czteroklasowej szkoły powszechnej wiedział dokładnie, gdzie znajduje się taki Madagaskar czy Patagonia.

Rzeczowo potraktowali natomiast święta studenci, podporządkowując swoją ofertę handlową postacie owych dni i nocy, kiedy gaworzą po ludzku zwierzęta domagają się zwiększenia produkcji pasz trawnych oraz wodociągów dla wsi, a warszawiacy chętnie placą po 12 tys. zł za sam bilet wstępu (bez konsumpcji) na bal sylwestrowy w „Victorii”. Oto bowiem u schyłku minionego roku na tablicy ogłoszeń dominowała żywność, odzież i zegarmistrzowska technika.

W dziale pierwszym nie proponowano naturalnie rzeczy pospolitych, jako to: słonina, cukier czy jabłka, lecz same delikatne i wartościowe towary kolonialne, że postużymy się terminem z czasów Ligi Morackiej i Kolonialnej, widniejącym przecież na szyldach sklepowych aż do schyłku lat pięćdziesiątych, choć wówczas mogłoby już tylko marzyć o kolonialach dla dzieci w Poblrowie lub Rabce. Akademicy zachęcali więc do kupna: kawy, kakao, cytryn i czekolady — wesoło z inoziemnych landów. Sporo było takich ogłoszeń, a na jednym to obok czekolady oferowano lity do maszyn krawieckich, licząc zapewne na jakiegoś szczególnie wyrafinowanego nabywcę. Na pierwszy rzut oka władza to dobra pod chobik — wszak i lity krawieckie korespondują ze strukturą drzewka.

Dział odzieży wypełniały: kurtka turecka w kolorze sławowym oraz indyjska bez kolorystycznej specyfiki, bluzka damska typu „ahogus”, kilka par dżinsów, trzy suknie ślubne: kanadyjska, z włoskiego tiulu i bliżej nieokreślona lecz tania. Ktoś powie: dobrze, kurtki pasują

na zimę, suknie ślubne właściwie też, bo ludzie na gwałt wzięją się w pierwszy i drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, dżinsy są dobre na każdą porę roku (przynajmniej w Polsce), ale gdzie się podziały kożuchy, coż to za handel zimowy bez kożuchów? Otóż — kożuchy zostały sprzedane wcześniej, a poza tym deszcz padał w pierwszej połowie grudnia.

O zmyśle handlowym studentów świadczy też fakt, że łącznie z towarami kolonialnymi i importowanymi odzieniem proponowali oni całą kupę dezodorantów. Kiedyś mawiano się: „ubaw po pachy”, dziś rzecz można: „elegancja po pachy i pachwin”. Zresztą nawet studentka pachnąca bardziej niż nie pachnąca, aczkolwiek niektórym wystarczy, że młoda.

Wyjątkowo trafiona okazała się oferta z zegarkami: „Ikar”, „Kessel”, „Aviatron”, albowiem wiadomo, że np. Sylwester oznacza początek nowego cyklu czasowego i warto ten moment zauważyć. Studenci pomysłili zresztą o wszystkim i wszystkich, nawet o tych fundach, którzy północ zdecydowali się popić winem austriackim. Otóż niektóre z wymienionych chronometrów grają — aż siedem melodii, w tym sepulkralnej Zadbano też o osoby uboższe, zachęcając je do kupna zegarków elektrycznych po 2500 zł sztuka. (Evenement: z reguły cen się nie podaje, zgodnie z metodologią handlu opartego na pokomarcantach orientalnych, wpatrzonych w Istambul i na lubelskim targowisku pod Zamkiem).

O poziomie świadomości ekonomicznej studentów świadczy na koniec licza propozycja sprzedaży koron czeskich, marek NRD, rubli i waluty bulgarskiej. Wiadomo, zima drastycznie maleje liczba wyjazdów zagranicznych, nie ma więc sensu mrozenie takich kapitałów, lepiej zamienić je na złotówki, którymi można tymczasem obracać z myślą o wiosnie i lecie.

Osobom zlekionym optymizmem podsuwamy przecież odmienną interpretację tego zjawiska: porównując się do lat obcych, studenci manifestują swe rosnące zaufanie do polskiej mamony...

Natomiast wyjątkowo skromnie, wręcz pesymistycznie reprezentowana była branża trio, sprzętu: gramofony, radioodbiorniki etc., który — jak odnotowaliśmy w październiku — dominował swego czasu na studentkim targowisku. Zracjonalizowanie tej absencji przekracza nasze możliwości intelektualne, czym zapewne różni się od handlowych akademików, którzy doskonale wiedzą, co robią.

My tu gadu, gadu, a za oknem minus sześć stopni i taki szmer mlekki. Czyżby uchwyciły się gdzieś jeszcze kożuchy? Sprawa zostanie zbadana.

T. G.

kamena



# Och, srebro srebro!

**Z**OSTAŁAM żoną hrabiego. Płynęłam w potoku gości weselnych jak wielka srebrna ryba, w srebrnych pantofelkach, w srebrzystej sukni ślubnej ze srebrnym trenem, w srebrzystym welonie, w srebrnych rękawiczkach, w małej srebrnej koronie, unosząc się i osiadając pianą srebrnych koronek wśród powszechnego uniesienia, zachwyty. Mówiono, że mam srebrzysty głos, srebrzysty śmiech, że jestem jak żywe srebro zmienna i migotliwa. Mówiono „Srebrna Pani”...

Och, srebro, srebro! Świeczniki były duże, masywne, srebrne. Lustro wychylało się ze srebrnych ram sygnac polyskliwymi odbiciami, od których powietrze rozpadło się na drobne wysrebrzone ślinienia. Cały plafon kapł od srebra.

Och, srebro, srebro! Lichtarze, naczynia, sztucce, czarki i ogromne puchary do wina mieniły się srebrzyście. Do stołu podawała służba w srebrzystej, herbowej liberii. Nawet instrumenty, na których grał muzyki, były ze srebra.

Och, srebro, srebro! Hrabia jak ptak o wielkich czarnych skrzydłach przyciskał do wypukłych piersi małe, srebrne, tańczące skrzypce. Smyczek przesuwiał się jak srebrny wąż, polatywał nad wątlwym pudłem skrzypiec jak srebrna błyskawica.

Potok gości weselnych przepłynął, służba została odprowadzona i pozostaliśmy sami, ja i hrabia. Skinął ręką i poszedł za nim. Jego przygarbione

plecy przemykały przede mną jak burzowa chmura. Powietrze falowało niespokojnie, kładąc się spłoszonymi cieniami na kamiennej posadzce, która rysowała się pod stopami, rozpękała, ziała ciemnością. Ze ścian występowały mroczne zjawy, wirując w bezszelestnym tańcu widm nagich, zlanych potem, dyszących, konwulsyjnie wykrzywionych. Hrabia przyspieszył kroku. Pobiegłam, poślakając się, upadając, podnosząc się i znowu biegnąc. Z ciemności wybuchnęła jeszcze głębsza ciemność, pulsując krwawymi ślepiami jakiegoś zwierzęcia, którego oddech, gorący, urywany, czułam we własnych piersiach. Prawie wpadłam na hrabiego, który nagle stanął. Dwie pochodnie gorzały u masywnych, płasko rzeźbionych drzwi, pokrytych niesamowitymi ornamentami, jak z fantazji lub snu.

— Pani pozwoli... — hrabia zapraszał mnie do wejścia szerokim gestem, dziwnie kontrastującym z głosem syczącym, zimnym, nieublaganym, i z nikłym, płaskim grymasem czy uśmiechem na skrzywionych ironicznie ustach. — Pani pozwoli... — hrabia coś mówił, ale głos jego docierał do mnie bezgłośnie, niestłyszalnym, więc błądziłam już zrezygnowanym wzrokiem za jego ręką, dłoń wyjątkowej piękności, wysmukła jak jaskółka w przeddeszczowym locie, o nerwowych, uduchowionych palcach. Te same dłoń, odcięta od ręki, ujrzałam na drzwiach, w wirze arabeskowych linii i kształtów, w rozpaczy pogoni za skrzypcami. Tak, w tym zaledwie zaznaczonym ruchu, ujrzałam a może tylko przeczułam rozpacz. — Pani pozwoli... — znowu usłyszałam ten głos, a może jedynie wielokrotne echo tego głosu w głębi siebie, jak w głębi strojonych skrzypiec przed koncertem.

Wielka komnata tchnęła pustką. W tej chwili wypełniał ją śmiech hrabiego, jak śmiech oblakanego aktora na niby-scenie. Rozglądałam się, zdjęta paniką, po ścianach, po suficie, jakbym stamtąd oczekiwała ratunku. Hrabia klasnął w ręce. Zwróciłam głowę i dopiero wtedy dostrzegłam stojącą za nim, tak jakby zasłaniając ją przede mną, szafę, wielką, masywną, całą ze srebra.

— Pani pozwoli... — zaśmiał się hrabia i zaczął zdzierać ze mnie srebrną suknię ze srebrnym trenem, srebrny welon, srebrne rękawiczki, srebrne pantofelki, małą srebrną koronę. Nie broniłam się. Płakałam ze wstydu. A on obiegał mnie, czarny, kosmaty, straszny, widząc, jak drzę i kurczę się ze strachu, i odurzał mnie ciężkim, chrapliwym oddechem. Nagle zabłysły w jego ręku skrzypce i aż zachłysnęły się smyczkiem! Hrabia, nie prze- stając mnie obiegać, dobywał z nich tony najniż-

sze i najwyższe, unosił się i opadał, wibrował, dyszał, szalał, rozpętał. Boże, jak cudowna i jak szatańska to była gra! Bezwiednie poddawałam się jej oblakanemu czarowi. Moje ciało zaczęło falować, piersi wznosiły się i opadały, łono pulsować. Rozwarłam ramiona... Wtem skrzypce umilkły. Hrabia, zgłębiony wół, z wykrzywionymi ustami, zniechęcony jak w ekstazie, wstrząsany od czasu do czasu krótkimi nieregularnymi drgawkami.

Co wieczór rozgrywała się ta sama scena, urywana w tym samym miejscu, a potem hrabia, nakazując ruchem ręki, abym się ubrała, zamykał mnie w szafie i odchodził. Nastuchiwałam jego kroków, dziwnie bezwonna i jakby wyciekająca. Przez długie noce godziny, całymi dniami — do zmierzchu. Nastuchiwałam jego kroków, napięta, oczyma i to napięcie wzrastało z każdym dniem, promieniowało we mnie, dojrzewało do wybuchu.

— Błaźnie! — wybuchnęłam pewnego razu. To było wtedy, gdy zgłębiony wół zniechęcony ze skrzypcami przyciśniętymi do piersi, a ja stałam tak nad nim z rozpostartymi ramionami, naga i wyzywająca, groźna i mściwa. Drgnął, wyprostował się, jeszcze bardziej wykrzywił usta, zaśmiał się, raz, drugi i bez słowa zaczął obiegać mnie, coraz szybciej i szybciej, bliżej i bliżej, po raz pierwszy muskając, dotykając mnie w przelocie, a potem odrzucił od siebie skrzypce i posiadł mnie.

I znowu zostałam sama. Mijały dni. Hrabia nie wracał. Już nie czekałam na niego. Już nie czekałam na nic. Czulałam, jak moje ciało rozluźnia się, pęcznieje, jak rozłazi się w szwach srebrna suknia ślubna ze srebrnym trenem, jak butwieją srebrne pantofelki, jak mech porasta srebrną koronę. Moje małe, twarde, zaledwie wykształcone piersi wzdęły się, wypełziły na brzuch, brodawki spekały, w szczelinach wybujały pokrzywy i osty, wśród rozłazłych, zbutwiałych szczątków srebrnej materii pojawiły się żmije, wijąc się i gęzając między udami...

— Asiu, Asiu, obudź się wreszcie! Dziś są twoje urodziny. Jesteś już naprawdę duża panną — skończułaś trzynaście lat!

— Ach, mamo, mamo, co mi się śniło!

— Mam nadzieję, córeczko, że coś milego...

# Tam...

**N**A ostatnim przystanku, na petli, do autobusu wsiadła stara kobieta. Autobus był pusty. Kierowca spojrzał w lusterko i pomyślał: „Co za starucha, tfu!” Otarł usta wierzchem dłoni. Zakreślił termos z kawą. Włożył do teczeki.

Usiadła przy przednich drzwiach, postukując parasolką, żeby otrząsnąć ją z wody. Była mocno przygarbiona, ale głowę przekrzywiała w bok, więc mógł jej się przyjrzeć.

Spojrzał na zegarek. „Jeszcze cztery minuty...” To miał być ostatni kurs, prawie przed północą. Na przystanku było pusto. Padał deszcz zmieszany ze śniegiem.

„Cholerna pogoda! Cholerna starucha...” Uśmiechała się do niego, otwierając bezzębne usta. Twarz miała pościągana w węzły zmarszczek, które zbiegały się wokół chudego, długiego nosa. Opierała się na staroświeckiej parasolce z kościaną rączką.

„Mieć taką matkę, o rety!”

Staruszka zmarszczyła brwi i poruszyła kilka razy ustami, jakby chciała mu odpowiedzieć. Czyżby czytała w jego myślach?

„Wygląda na czarownicę, a z takim nigdy nie wiadomo!”

Poprawił się niespokojnie na siedzeniu. „Boże, żeby jeszcze ktoś wsiadł!” Ale nie było slychać żadnych kroków. Tylko szmer wody spływającej z dachu. Na przedniej szybie rozmazywało się światło latarni.

Ubrana była w czarną pelerynkę z kapturem, spod którego sterczały kosmyki siwych włosów. Pelerynkę spinała pod szyją ozdobna klamra.

„Zupełnie jak z teatru...” Był kiedyś w teatrze. Na „Celestynie”. Tak, tamta starucha nazywała się Celestyna i była zupełnie podobna do tej. Też się uśmiechała, ale tak, że człowiekowi ciarki przechodziły po krzyżu.

Spojrzał na zegarek. Brakowało minuty do odjazdu. Wyjął spod siedzenia jakąś szmatę i zaczął przecierać szybę.

— Autobus 112 jedzie tam...

Zdawało mu się, że się przesłyszał. Odchylił się do tyłu i spojrzał w lusterko: starucha siedziała nieruchomo, ale jej usta poruszały się wyraźnie.

— Autobus 112 jedzie tam...

Wiedział, że to nie było pytanie, ale z gorliwością, która go zdumiała, odpowiedział:

— Jedziemy na Nowolipki.

Potrząsnęła przecząco głową, jakby nie o to chodziło, i znowu zaśpiewała:

— Autobus 112 jedzie tam...

Tak, to był śpiew. Nie było co do tego żadnej wątpliwości. Początkowo nieskładny, urywany, nawet płaski, jakby nie mogła trafić na odpowiednią nutę. Stopniowo coraz czystszy...

„O Boże, stara wariatka!” Trzęsącymi się rękoma uruchomił silnik, zamknął drzwi i ruszył, starając się tak manewrować, aby zagłuszyć jej śpiew.

— Autobus 112 jedzie tam... — głos staruszki przebiegał się przez dygotanie wozu, buczenie silnika.

— Na Nowolipki! — warknął, wyjeżdżając na szerszą drogę, pustą o tej porze.

Jeszcze raz kiwnęła przecząco głową i znowu ciągnęła śpiewanie to swoje „tam, tam, taaaam...” jakby ćwiczyła przy fortepianie gamy.

— Jak mówię, że na Nowolipki, to znaczy, że na Nowolipki! — odwrzasnął z wściekłością, czując, że za chwilę przestanie nad sobą panować: zatrzyma się i wyrzuci staruchę z wozu. Patrzył w ciemność przegowaną lśnieniem wody na asfalcie i myślał: „Oby dojechać do najbliższego przystanku...” Ale na przystanku nie było nikogo, więc musiał jechać dalej.

— Tam, taaaam, taaaam... — staruszka dźwignęła się z miejsca, odrzuciła do tyłu głowę i z zamkniętymi oczami, przyciskając ręce do piersi, zanosiła się od śpiewu, aż zaczęły z niej wyfruwąć koloratki zdobniki.

Zacisnął ręce na kierownicy, aż zbieleły knykcie. Chciał krzyknąć: „Zamknij pysk, stara wiedmo, tu nie opera!”, ale głos uwiązł mu w gardle. Z trudem łapał oddech. Oczy zalewała ciemność.

— Taaaaam... — wycelowała kościstym palcem w ogromny słup trakcyjny, w który uderzał autobus.

otwarte: ktoś wysiadł. Przez chwilę patrzył otepiałym wzrokiem, a potem rzucił się w stronę drzwi, które właśnie się zamykały.

Gdy wyskakiwał, wyszarpując się z napierających na niego drzwi, jeden z baloników został w tramwaju i pękł z głośnym trzaskiem. Usłyszał to i poczuł ulgę, a później ostry ból w piersiach, jakby go ktoś nakłuł i jakby zaczęło z niego z sykem uchodzić powietrze.

Na jezdni, pod samochodem leżał młody człowiek. Wydawało się, że nie mu się nie stało, bo nawet niebieski, z białymi esami - floresami balonik, o który opierał policzek, nie pękł. Samochody stały. Ludzie tłoczyli się między nimi. Wyśladał z tramwajów, które także stanęły.

Z daleka zbliżało się głośne zawodzenie karetki reanimacyjnej. Na milicyjnej nysie wirowało fioletowe światło sygnalizacyjne. Ludzie rozstępowali się niechętnie.

— Nie żyje — powiedział lekarz do milicjanta, który pokłakiwał głową i wykrzyknął w kierunku tłumy: — Potrzebni są świadkowie! Kto widział, jak denat wyskakiwał z tramwaju?

— Ja widziałem — inwalida uniósł rękę, przytrzymując szczudło pachy. — Widocznie spieszył się na bal. Jak to młody...

# Balonik

**K**UPIŁ dwa baloniki. Najpierw jeden — taki zwyczajny balonik sylwestrowy, niebieski z białymi esami-floresami, który różnił się od innych tylko kolorem. A potem drugi — ogromny, pomarańczowy, naindy-czony aż do rozpuku. Wydawało się, że podryguje koralami zwisającymi u gardzieli i gułgocze w głębi piersi.

Wszędzie stali sprzedawcy, trzymając w zgrabiałych rękach połówki brukwi, w które wbite były druty, pokrzykując i przytupując nogami, a nad nimi zwisały się ciężkie pastrokaty grona.

W tramwaju nie było tłoczno. Usadowił się wygodnie, unosząc baloniki nad głowę. Kątem oka spostrzegł, że ludzie na niego patrzą i że nikt nie ma balonika.

Tramwaj kołysał się. Przez okna widać było zapóźnionych przechodniów z balonikami lub bez, reklamy zapalały się i gasły. Z daleka dobiegało głośne zawodzenie karetki reanimacyjnej.

„Tam ktoś umiera, a ja jadę na bal. No cóż, samo życie!” Baloniki podrygiwały w taki jazdy. Trzymał je ostrożnie nad głową, starając się aby się nie pobrudziły albo, broń Boże, nie pękły.

Nagle poczuł utkwiony w siebie wzrok. Spojrzał w górę i zbladł. Przed nim stał inwalida bez nóg, oparty na szczudłach, z twarzą pokrytą jedną wielką blizną. Jedno oko było szkliste i nieruchome, drugie spoglądało w dół.

— Może pan usiadzie — wykrztusił i chciał wstać, ale w tym samym momencie uświadomił sobie, że pełno jest wolnych miejsc i opadł z powrotem.

— Dziękuję, panie — powiedział balonikami, żeby pokazać, że jest mu głupio.

Inwalida zmarszczył wypalone miejsca po brwiach, jakby nie rozumiał, o co chodzi.

— Dzisiaj jest Sylwester — wyszeptał, ale inwalida chyba nie dosłyszał; w jego martwym oku odbijały się baloniki.

Zrobiło mu się nagle duszno. Bał się, że zemdleje. Wtem zdał sobie sprawę, że tramwaj stoi i że drzwi są



Andrzej Jastrzębiec

-Kozłowski

## TOZSAMOSC

Ten błękit rzadko bez zarzutu  
tę zieleń chociaż zakurzona  
to często zadymione słońce  
wybrałem już na tło tych rozmów  
które prowadzić będę jeszcze  
z najbliższą moim myślom ziemią  
bo nadal wierzę w polską wierzbę  
pochylającą się nad wodą  
w poszukiwaniu własnej twarzy  
a jeśli ktoś wymyślnie powie  
że śnię na peryferiach świata  
spytam czy widział kiedykolwiek  
śródmieście swojej wyobraźni  
leć po powiedzmy przez Atlantyk  
czy zdążył przejrzeć się w błękit  
ponad chmurami podróżując

czy zdolał chociaż raz gdzieś indziej  
w obcym języku rozmyślając  
odezwać jak bardzo jest rutejszy

## ANEMNEZA

Mój prywatny krajobraz znieścacka zgaszony  
jakby w górach wiosennych gwałtowna ulewa  
zmiażdżyła widok z okna za ledwie poczęty

Oto znów wyobraźnia czyjaś stratiwana  
przez rzeczywistość

Widocznie światło które w nas się zjawia  
jest jedynie po to  
żeby głębsza ciemność panowała później

Najpiękniej kłamie jednak wszystko co ulotne  
tak jakby chwila chwili wiecznie  
musiała zaprzeczać

a pewne były tylko rozstania  
i słowa  
wynikające z nich i wnioskujące  
w obraz którego najdrobniejszy szczegół  
może być ziarnem pomysłowości

## NIEBEZPIECZENSTWO

Ci którzy ciszy ochronnej nie znają  
nawet ze słyszenia — pośpieszni  
cudzych wyobraźni przechodnie  
co na samą myśl o tym  
że mogliby nagle zatrzymać się w biegu  
pod czerwonym światłem swoich własnych  
pytań  
uciekać od samych siebie jeszcze dalej  
gromadząc się w przekonaniu  
że jest ich coraz więcej  
i jedynie tego należy się obawiać

**Z**NAMIENNY dla pisarstwa Iredyńskiego (1939—1985), zapowiadający wiele spraw, które miały w tej twórczości zdarzyć się potem — wydaje mi się, zapomniany w zasadzie, debiutancki tomik poezji „Wszystko jest obok” (1959 r.). Znalazły już tu miejsce sygnały dróg, kierunków, nurtów poszukiwań, jakie objawiły się później w powieściach i wielu dramatach. Szczególnie tych, skupionych na drażnieniu tajemnicy ludzkiego życia, poszukiwaniu i odkrywaniu tego wszystkiego, co tkwi we wnętrzu człowieka i tego, co znajduje się obok jednostkowego ludzkiego bytu.

Znalazłam w tym tomiku wiersz „Nauczni”, a w nim takie słowa, których sensy i znaczenia — choć inaczej potem zapisywane i głębsze — często u Iredyńskiego powracały:

Nauczni rozróżniać dobro od zła  
samolot od kotłyszki

[...]  
Kiedy mamy rozróżnić granicę  
między dobrem a złem  
patrzmy w lusterko cudzych śmierci.

Śmierć, albo przynajmniej ludzkie myślenie o własnej czy cudzej śmierci, daje możliwość właściwego rozpoznawania dobra i zła, prawdy i kłamstwa, miłości i nienawiści. Powieści i dramaty Iredyńskiego zanurzone były stale w oglądaniu ludzkiego losu, w rozsupływaniu trudnych pytań o sens, częściej śmierci niż życia, o źródła ludzkiej nienawiści. Bohaterowie tych utworów — często artyści, zawsze ludzie — wrażliwi — ustawiani bywali w sytuacjach ekstremalnych, gdzie łatwo obnażała się ich kruchosc i równie łatwo zacierali się granice pomiędzy ludzką moralnością i psychicznym nieporównaniem.

Z niezwykłą sugestywnością budował Iredyński psychologiczne portrety swoich bohaterów, pokazując jednocześnie obraz ich środowiska, najczęściej od strony obyczajowości. Badał mechanizmy dobra i okrucieństwa w społeczeństwie i w pojedynczych ludziach, dając zwykle poważny osąd rzeczywistości, co, zresztą, nazywano czasem czarną moralistyką.

Niekiedy mówi się, że Iredyński stale pisał jedną powieść, albo ten sam dramat, co świadczy przede wszystkim o ciągłości określonego stylu i trwałości koncepcji świata, człowieka, hierarchii wartości, jakie pisarz sobie wyznaczył. Pierwszą powieść „Dzień oszusta” (1962 r.) i nieco późniejszą „Ukryty w słońcu” łączą się i współistnieją za sprawą bliskości i podobnych metod konstrukcji bohatera, opartych na zasadzie wewnętrznej narracji. Głosy, rozmowy bohaterów tych mikropowieści są monologami wewnętrznymi, albo dialogami z samym sobą i z innymi wewnątrz siebie. Bohaterowie ci, to ludzie poszukujący w swoim świecie prawdziwych wartości, nieustannie wypełnieni wewnętrznym niepokojem, nieporównaniem, chimerami, wrażliwi bardziej niż trzeba i można być w rzeczywistości, w której żyją.

Te sprawy wracają stale, obecne są i w późniejszej powieści „Manipulacja” (1975) i, oczywiście, w dramatach. Iredyński takich bohaterów, istniejących jakby poza granicami normalności, ustawiał zwykle, w swojej

hierarchii wartościowania człowieka, na wyższym piętrem. Prof. Kazimierz Dąbrowski w jakimś wywiadzie przed kilku laty powiedział: „Bądźcie pozdrowieni psychoneurotycy! Za to, że macie czułość w nieczułości świata, niepewność w pewności. Za to, że tak często odczuwacie innych jak siebie samych, za to, że czujecie niepokój świata, jego bezdenną ograniczoność i pewność siebie [...] za waszą twórczość i ekstatę, za wasze nieprzysto-

matycznej sytuacji w świecie zdominowanym przez siłę politykę. Obszarem przestrzeni poszukiwań pisarza bywała zawsze jakaś niewielka zbiorowość, mikrosoczeństwo, przeciwstawiane jednostce.

W dramaturgii Iredyńskiego można by wyznaczyć dwa, przynajmniej, zasadnicze nurty: dramaty polityczne, oparte na historycznym konkretnie, pokazujące problem przemocy, mechanicznej politycznej terrory (w jednym

bija swego mecenasa, opiekuna. Nikt odnajduje w sobie przeznaczenie bezimiennego kata który krzyżuje. Pana, zobaczywszy w jego twarzy oblicze Chrystusa. Właściwie postać jakiegoś Nikta, tyle że nie zawsze może ułamać, bezpośrednio nazwana stale blakłała się w twórczości Iredyńskiego, jako przeznaczenie, oczekiwanie, nadzieja, albo jej brak. W powieści „Manipulacja” malarz polski samotny, przebywający w Zurychu, stwierdza:

# Po odejściu Iredyńskiego

## „Podoba się wam ten ogród?”

Lidia Wójcik

sowanie do tego, co jest, a przystosowanie do tego, co być powinno, za wasze wielkie uzdolnienia, często nigdy niewykorzystywane [...] za to, co w was przezuwane, nie dopowiedziane, nie ogarnięte. Za samotność i dziwaczność waszych dróg”. Iluz u Iredyńskiego bohaterów, których można by określić i ponazywać takimi słowami, i wydaje mi się czasem, że właśnie myślenie pisarza o ludziach i jego literackie czy teatralne postaci choćby w „Kreacji”, „Oltarzu wzniesionym sobie”, „Manipulacji”, „Ukrytym w słońcu” — wyrastają, częściowo przynajmniej, z psychologicznej teorii „deintegracji pozytywnej” Iredyńskiego stale próbował poszukiwać w codziennych ludzkich zachowaniach, wyrastających przecie i tkwiących w kulturze masowej, jakiegoś „metafizycznego podziemia” tego, co w człowieku najwartościowsze i jednocześnie stłumione, co wydobyte na wierzch, często przybierała formą nienormalności, dziwaczności.

W dramatach stanowiących zasadniczy zrab twórczości (19 dramatów, sześć powieści) Iredyński, czasem aż z jakąś podejrzaną łatwością, potrafił budować silne, wstrząsające efekty; pokazywał śmierć, obłąd, ludzkie rozstania, nie ujmując im okrucieństwa. Wynikało to zapewne z przyjętej koncepcji świata z którym musiał zmagać się współczesny człowiek, z koncepcji człowieka nieustannie poszukującego, z wpisaniem weń, przynależnym ludzkiej naturze, kreacjonizm i wreszcie z koncepcji teatru, w którym człowieka i przekazywane przezeń słowo uznawał pisarz jako podstawowe środki wyrazu.

Właściwie wszystkie dramaty — czasem bardziej scenariusze, niż typowe sztuki (może dlatego, że autor uprawiał jednocześnie rozmaite gatunki: dramaty, słuchowisko, powieść, opowiadanie) — choć można je ponazywać, poszufladkować, układają się właściwie w jeden wielki dramat — studium o współczesnym człowieku, o jego dra-

z krajów Ameryki Południowej, & Niemczech faszystowskich) jak choćby „Terrorysty” czy „Głosy umarłych”. Bliskie tego nurtu pozostają również sztuki o generacji, o formacji pokolenia pisarza („Oltarz wzniesiony sobie”), o życiu, sukcesach i klęskach pokolenia epoki „małej stabilizacji” jak będąca swolstym sukcesem teatralnym „Dacza” (1980).

I drugi wyraźnie rysujący się nurt, to sztuki skupione przede wszystkim na indywidualnym człowieku i jego wewnętrznym dramacie, zmierzającym ku skali kameralnej, wymiarowi jednostkowemu, gdzie pisarz obnaża — będąc niejako znakiem naszych czasów — wynaturzenia psychiczne, deformacje więzi międzyludzkich, agresję. Współczesne ludzkie dramaty Iredyńskiego sytuuje często — jak w „Kreacji”, „Jasiekach modernych”, „Zegnaj, Judaszu” — w kontekście, albo na tle kulturowych archetypów, dając możliwość oglądu świata i współczesnego człowieka poprzez mity, postaci biblijne, poprzez mity symbole literackie. Ustawianie człowieka w kontekście Krzyża, Golgoty (jak w „Kreacji”) postaci Judasza, Heroda pozwalało pi-sarzowi mówić o człowieku w kategoriach najwyższych, w płaszczyźnie wartości uniwersalnych, wiecznych. Motyw ludzkiej gry z Losem wprowadzany w powszednie sytuacje, w banalną czasem scenę wypełnioną współczesnymi rekwizytami, w język codzienny, często trywialny, przybierał niekiedy wymiary tragedii, albo lepiej może będzie powiedzieć: pozostawał gdzieś pomiędzy tragedią a moralitetem.

Bohaterem jednej z ostatnich sztuk — „Kreacji” (1984) jest malarz, kopi-sta dawnych dzieł Alkoholik i człowiek nieporównany psychicznie, który pije i maluje, żeby nie pograżyć się w ostatecznym szaleństwie. W jego życiu zjawia się menadżer sztuki — Pan, ofiarowując mu sławę i pieniądze w zamian za niewolnictwo myśli i talentu. Nadaje także malarzowi nowe imię Nikt i w finale dramatu Nikt w stanie ostatecznego obłądka za-

„Chcę powiedzieć, że pan Nikt jest najlepszym powiernikiem”.

Tworzenie, kreowanie Nikta, to może próba poszukiwania, ustanawiania przez Iredyńskiego w jego świecie jakiejś wartości nadrzędnej, kierującej ludzkim losem, rzeczywistością. Choć nie wiadomo, czy wartość nadrzędna jeszcze istnieje, bo któryś z bohaterów Iredyńskiego powieści: „Diabłów nie ma Duszy nie ma. Jest się sam ze sobą”. I w kontekście tych słów stają się jeszcze bardziej oczywiste stale obecne u Iredyńskiego pytania: w jaki sposób w dzisiejszych społeczeństwach funkcjonuje świat wartości i jakie to są wartości.

Dramaty Iredyńskiego szczególnie, słuchowiska, choć i powieści w jakiejś mierze także, są jakby przypowieściami, parabolami o przemocy i okrucieństwie oglądanym w planie społecznym i indywidualnym. O ludziach małych i słabych, broniących się agresją, i o silnych, którzy zwyciężają za sprawą własnej ludzkiej godności. Są to wreszcie opowieści moralne, zbudowane na wykorzystaniu znaczenia i wagi sytuacji ekstremalnych, wystraszonych konfliktów. Przedstawiające zawsze człowieka w sytuacji konieczności określenia się wobec siebie i innych, wybrania postawy iasnej zdeklarowanej i rozumienia sprawy odpowiedzialności za swoje wybory. Iredyński zawsze jednoznacznie określał okazywanych ludzi, może dlatego, że nie uznawał duchowej sprzedajności, ani „na lewo”, ani „na prawo”.

Ulubiona książka Iredyńskiego — jak napisał w pośmiertnym wspomnieniu reżyser wielu przedstawień tego sztuka, Jan Bratkowski — było „Pod wulkanem” Malcolma Lowry’ego. Ostatnie zdanie z tej powieści będzie chyba najtrafniejszym zakończeniem do tych paru myśli o twórczości Iredyńskiego: „Podoba się wam ten ogród? Uważajcie, aby wasze dzieci go nie zniszczyły”.



## Orient Spielbergiem podszyty

**C**ORAZ bardziej irytująca wydaje się ta maniera Stevena Spielberga — kręcenie wciąż nowych „pastiszy” filmowych. owej ciągłej „zabawy” znanymi tematami i wątkami filmowymi, które genialny, choć może nie całkiem dorosły, wciąż „chłopięcy” twórca — bezustannie miesza i na własny sposób przyprowadza w swym artystycznym tygłku: od „1941” poprzez „Poszukiwaczy zaginionej Arki” aż po „Indianę Jonesa”.

W tym ostatnim filmie — kolejnej porcji przygód nieustraszonego archeologa oraz poszukiwacza — przenosimy się w Orient. Najpierw do eleganckich lokali rozrywki w Szanghaju z połowy lat trzydziestych, do Chin „skażonych” europejską cywilizacją, a stamtąd... do Indii pogrążonych jeszcze w czasie dawno minionym. Do tych Indii ze strony trzeciorzędnej, „zeszytowej” literatury — prastarego lazu, gdzie wśród pełnej słoni, węży i nietoperzy mrocznej dżungli wznoszą się tajemnicze pałace maharadzów, a otaczające nas powietrze drży od ponurych okrzyków Thugów, wyznawców krwiożerczej bogini Kali. Tam właśnie podąża Indiana Jones wraz ze swą towarzyszką, białą piosenkarką z Szanghaju, oraz małym przyjacielelem, kilkuletnim chińskim chłopcem. Shortym, aby złemu maharadzy odebrać święty kamień Sankara, zrabowany dobrym mieszkańcem biednej górskiej wioski. Taki jest oto punkt wyjścia do całej serii fantastycznych przygód trojki bohaterów, do roztoczenia przed oczyma widzów wachlarza niesamowitych scen z wnętrza świątyni bogini Kali, do mrocznych krew w żylach pojedynków i dramatycznych ucieczek mrocznymi, podziemnymi korytarzami... Rzecz z pogranicza literackiej oraz filmowej szmiry? Z pewnością. A jednak...

A jednak — coś w tym jest! Jakaś swoista „poezja kina”, jakiś ekstrakt istoty kina, owej wspaniałej i tajemniczej latarni czarnoksiężskiej, która w ciemnościach kinowych sal przenosiła — i nadal przenosi — widzów w baśniowy, barwny i tajemniczy świat nieznanych lądów, epok i ludzi... To wszystko spełnia się w filmach „Spielbergiem podszytych”.

Spielberg jest nie tylko „dużym, genialnym dzieckiem kina”, jak się o nim mówi. Dzieckiem, dla którego kino jest barwną zabawką. Ten zbliżający się do czterdziestki mężczyzna jest może raczej ciągle dorastającym chłopcem, który wciąż śni na temat przygód filmowych bohaterów, jakie oglądał, i którymi był — przed laty. W dzieciństwie i w latach chłopięcych — w małych, prowincjonalnych salach kinowych, gdy na ekranie migotał jakiś wylądnięty z filmowego lamusa „Gunga Din” Stevensa, jakiegoś „Złote cienie”, jakiegoś „Zaginiony horyzont” niezapamiętanego reżysera, w którym samolot umykał z Chin w czasie rewolucyjnych zamieszek, rozbiła się w Himalajach, a jego pasażerowie, cudem uratowani, trafili do odciętej od świata wioski w głębokiej dolinie. Tam żyją biali zakonnicy a piękna dziewczyna odbiera miłośnika bohatera filmu...

Wszystko to przeżywalismy kiedyś sami. I te same, oraz podobne, urywki filmów, fragmenty kinowych doznań i przeżyć, przybłakle, wyrwane z kontekstu, ale wciąż żywe i natrętnie przypominające o swym istnieniu, kłębią się w naszej pamięci: „jak to było?”, „skąd on się tam wziął?”, „jak to było później: czy w końcu do niej wrócił?”, „z jakiego to filmu?”.

Spielberg nie tylko kręci filmy, on przede wszystkim żyje kinem. Kino nie jest dla niego tylko pracą lub „twórczością”, kino jest po prostu jego życiem. Lubi się w to życie zagłębiać, wracać w jego przeszłość, przeżywać po raz wtóry swoje chłopięce doznania. Ale już nie — z pozycji widza, lecz stojącego za kamerą artysty, mogącego ponownie formować i urabiać własnymi rękami tamten dawny, raz już niegdyś smakowany, wspaniały świat. Dlatego tyle w filmach Spielberga nostalgii i tyle w nich, zazwyczaj, dzieci. Dlatego, w sumie, tak niewiele w nich jawnej erotyki. A tak dużo — dowcipnych sytuacji, różnorakich „kopsów” i podstawień nóg (także — w przenośni), z których wychodzą zwycięsko dziesięć, dziesięćletni chłopcy.

Dla dorosłych widzów jest przeznaczona w „Indianie Jonesie” męska uroda Harrisona Forda oraz porwijająca kobiecość Kate Capshaw. Ale widzów najmłodszych będzie interesował przede wszystkim wątek małego, sprytnego i pełnego odwagi Chinczyka, Shorty’ego, walczącego zawzięcie na pięści ze swoim rówieśnikiem, „niedobrym chłopcem”, małym maharadzją, który w podziemiach pałacu więzi setki innych małych chłopców porwanych matkami i zagnanych do szukania drogocennych diamentów.

A że dobry bóg Sziwa czuwa nad swoimi dużymi i małymi bohaterami (a zapewne także nad Stevenem Spielbergiem i jego sztuką) — więc wszystko kończy się dobrze. Mimo wszelkich logicznych oraz artystycznych niekonsekwencji „Indiany Jonesa”, pewnych dłużyzn „puszczowych” scen. Toteż... wychodzimy z kina zadowoleni oraz dziwnie odmłodzeni.

M.D.

**W** PRZODUJĄCYCH gospodarce krajach obserwuje się dzisiaj fascynujące zjawisko, będące bez wątpienia jednym z objawów rewolucji technologicznej. Dzięki nowym technologiom wytwarzania półprzewodników oraz nowym pomysłom konstrukcyjnym uruchomiono na wielką skalę produkcję komputerów, których niewielkie rozmiary i niska cena sprawiły, że stały się one sprzętem powszechnego użytku, podobnie jak radioodbiorniki, magnetofony, telewizory, lodówki czy zegarki elektroniczne.

Komputer — do niedawna synonim tajemniczości i domena hermetycznego kręgu fachowców — z chwilą wyprodukowania mikrokomputerów, które mogą być oferowane indywidualnemu nabywcy, zaczął wkraczać we wszystkie dziedziny życia. Opracowano setki zastosowań mikrokomputera w gospodarstwie domowym, małym przedsiębiorstwie, laboratorium czy bibliotece. Przygotowano też komputerowe rozrywki.

Ta totalna inwazja mikroelektroniki nie omija też naszego kraju. Dziesiątki tysięcy obywateli posługują się już mikrokomputerami, głównie wprowadzonymi z Zachodu, zarówno w miejscu pracy jak i w domu. Wszystko to sprawia, że komputery osobiste (personal computers) znajdują coraz liczniejszych nabywców, stając się

# MIKROKOMPUTERY

Edward Maruszak

dla wielu pasjonującą, a zarazem rozwijającą intelektualnie rozrywką. Co ważniejsze, amatorski komputer w rękach świadomego jego możliwości użytkownika może łatwo stać się niezwykle potrzebnym urządzeniem powszechnego użytku, spełniając różne, nieraz doraźnie sprecyzowane funkcje. Staje się elektronicznym budzikiem lub kalendarzykiem z pamięcią, zarządca domowym budżetem, ułatwia redagowanie korespondencji, pomaga w nauce języków obcych lub studiowaniu geometrii.

Producenci sprzętu komputerowego i elektronicznego urządzeń powszechnego użytku odpowiedzieli na koniunkturę masową produkcją mikrokomputerów maksymalnie uproszczonych konstrukcyjnie, łatwych w obsłudze i, co najważniejsze, znacznie tańszych od konwencjonalnych komputerów osobistych o raczej profesjonalnym przeznaczeniu. Tak powstał komputer domowy (home computer), który stał się niesłychanie popularny na całym świecie, a liczbę zapalonych informatyków amatorów ocenić już można na miliony ludzi. Jego popularność wynika z ogólnej fascynacji nową technologią, która coraz bardziej przenika wszystkie dziedziny naszego życia, przy czym komputer domowy jest jednym z jej najbardziej wyrafinowanych produktów.

Precyzyjne odróżnienie komputera osobistego i komputera domowego jest trudne. Przyjmuje się, że komputer używany w miejscu pracy to komputer osobisty, natomiast komputer służący do wykonywania prac nieprofesjonalnych, najczęściej w domu użytkownika, to komputer domowy. Istnieją również inne kryterium podziału: handlowcy i producenci uważają za komputer domowy urządzenie, którego cena nie przekracza 500 dolarów (w RFN — 1500 marek). Komputer osobisty kosztuje oczywiście drożej.

Pierwsze komputery, te z lat czterdziestych, ważyły kilkadziesiąt ton i zużywały ogromne ilości energii oraz psuły się co kilka minut. Były to czasy elektroniki na lampach próżniowych. Potem przyszła era tranzystora, a następnie układu scalonego. Dzisiejszy mikrokomputer zawiera się w istocie na płytce krzemu o powierzchni dwudziestu kilku milimetrów kwadratowych. Wszystko pozostałe to już tylko jego wyposażenie. Zewnętrznie charakteryzuje się zwartą konstrukcją mieszczącą we wspólnej obudowie, oprócz mikrokomputera, monitor ekranowy, klawiaturę, a nieraz także drukarkę oraz jedną bądź kilka jednostek pamięci zewnętrznej kasetowej lub na dyskach elastycznych. W skład całości wchodzi też naturalnie integralny zasilacz sieciowy. Mikrokomputer jest częstokroć wyposażony także w urządzenie umożliwiające transmisję danych przez łączą telekomunikacyjne (modem).

A oto typy popularnych mikrokomputerów osobistych:

typ mikrokomputera	mikroprocesor	pamięć w kB		rozdzielczość	Ilość barw
		RAM	ROM		
Sinclair QL	68008 (16 bitów)	128—640	48	512×256	4
Apple II	6502 (8 bitów)	48—112	16	256×192	8
IBM PC	8088 (16 bitów)	64—512	40	320×300	16
Macintosh	68000 (16 bitów)	128—192		512×342	2
Hewlett-Packard	9845 C (16 bitów)	56—446		560×455	8
TRS-80 typ 2000	80186 (16 bitów)	128—768	16—48	640×400	16
ZX Spectrum 48 K	Z 80 (8 bitów)	48	16	256×192	8
Commodore 64	6510 (8 bitów)	64	20	320×200	16
Atari 800 XL	6502 C (8 bitów)	64	24	320×192	256
Schneider	Z 80 (8 bitów)	64	32	640×200	27

Dotychczas produkowane komputery, takie jak Odra czy Rlad, używane w dużych ośrodkach komputerowych, niektórych instytucjach naukowych czy uczelniach wyższych, są to wielkie urządzenia wymagające specjalnych pomieszczeń, spełniających ścisłe wymogi

czystości, temperatury i wilgotności, charakteryzują się tym, że po włączeniu zasilania nie mogą być jeszcze zdolne do pracy. Najpierw należy umieścić w pamięci operacyjnej odpowiednie oprogramowanie, zazwyczaj poprzez wczytanie go z pamięci zewnętrznych zawartych na dyskach, taśmach, bębnoch czy innych nośnikach.

Zupełnie inaczej przedstawia się to zagadnienie w przypadku komputerów osobistych, których podstawowe oprogramowanie jest wbudowane na stałe w postaci tzw. ROM (Read Only Memory — pamięć tylko do odczytu). Taki komputer jest gotowy do pracy natychmiast po doprowadzeniu zasilania.

Oprogramowanie komputera osobistego ukierunkowane jest głównie na konwersacyjny typ współpracy z użytkownikiem. W zależności od potrzeb użytkownik może albo sformułować dla mikrokomputera program w języku łatwym do opanowania albo wprowadzić do jego pamięci standardowy program przeznaczony do rozwiązywania określonej klasy zadań takich jak nauka języków obcych, rozwiązywanie zadań matematycznych, katalogowanie, redagowanie tekstów czy gry.

Programy takie są dostępne na rynkach krajów Europy Zachodniej i USA w wielkim wyborze i pozwalają

korzystać z komputerów osobistych nawet tym użytkownikom, którzy nie znają zasad programowania. Podstawowa przewaga, jaką dotychczas posiadają duże komputery nad osobistymi, polegająca na posiadaniu masowych pamięci wielkiej pojemności, zaczyna powoli zanikać w najnowszych wersjach komputerów osobistych (np. Sinclair QL), umożliwiającą równocześnie realizację wielu zadań, co pozwala im przejąć i takie, jak na przykład sterowanie procesami technologicznymi, zarządzanie bankami informacji, wspomaganie projektowania itp.; dotychczas było to domeną wielkich maszyn. Najbardziej wyrafinowane komputery osobiste przewyższają nawet większe maszyny sprzed kilku lat pod względem pojemności pamięci czy niezawodności.

Ostatnio w mikroinformatyce pojawiają się nowe kategorie sprzętu, są to komputery kieszonkowe, walizkowe komputery osobiste oraz komputery firmy Seiko umieszczane w ręcznych zegarkach.

Komputery kieszonkowe z wyglądu i wymiarów są podobne do popularnych kalkulatorów naukowych. Od tych ostatnich różnią się jednak znacznie większą funkcjonalnością i możliwością programowania w jednym z używanych powszechnie języków komputerowych.

Komputery w ręcznym zegarku, produkowane przez firmę Seiko, są to dość proste urządzenia wielkości kalkulatora naukowego, w których tarczy zegarka spełnia funkcję ekranu. Pozwalają one umieścić w pamięci zegarka do 2000 znaków programowanych w języku Basic. Mogą to być numery telefonów, adresy, rozkład jazdy pociągów lub inne notatki.

Walizkowe komputery osobiste wyposażone są w ciekłokrystaliczne lub luminescencyjne płaskie ekrany, zasilane są z akumulatorów lub baterii i ważą od jednego do kilku kilogramów. Grubość takiego ekranu wynosi najwyżej kilka milimetrów, co pozwala zmieścić cały komputer w obudowie wielkości książki. Mimo niewielkich rozmiarów dysponują one możliwościami dorównującymi stacjonarnym komputerom osobistym.

Na ciekłokrystalicznym ekranie mieści się zazwyczaj kilka linii tekstu. Można również uzyskać na nim grafikę zadowalającą dla wielu poważnych zastosowań.

Zasilanie baterijne pozwala ponadto na zachowanie zawartości pamięci komputera nawet po jego wyłączeniu.

Podobnie jak w innych typach mikrokomputerów możliwe jest dołączenie do nich drukarki czy magnetofonu jako pamięci masowej. Dla wygodniejszego korzystania z nich w warunkach podróży lub w terenie całe zestawy gotowego sprzętu umieszcza się po prostu w poręcznej walizeczce.

Walizkowy model Hewlett-Packarda (HP-110) pracuje na procesorze 16-bitowym 80 C 86, zawiera pamięć RAM 272 kB i ROM 384 kB. Ma odkładany nad klawiaturą

ciekłokrystaliczny ekran zawierający 128×480 punktów, co pozwala zapisać 16 wierszy tekstu po 80 znaków. Wymiary tego modelu wynoszące 33×25,5×7,5 cm oraz waga ok. 4,5 kg czynią to urządzenie wygodnym w podróży. Jego cena wynosi około 3000 dolarów.



# Światowy „Comet Show”

**K**IEDYS, tak jak wszystkie inne komety ukazujące się na niebie, budziła grozę. Mogła obwieszczać śmierć królów, wielkich wódzów, wybitnych uczonych, miała, jakoby, zwiastować nadejście wydarzeń nadprzyrodzonych, zapowiadać klęski żywiołowe, wielkie epidemie, krwawe wojny. Dziś komety zostały pozbawione swych „promocyjnych” właściwości. Patrzy się na nie poprzez szkiełko nauki. Nie tylko dla uczonych, ale także dla przeciętnego mieszkańca naszej planety kometa jest jednym z ciał kosmicznych, „śniegową kulą”, składającą się z zamrzniętych gazów i pyłu kosmicznego, swoistym fenomenem kosmicznym, tak starym, jak sam wszechświat, złożonym z tej samej „materii”, z jakiej ukształtowały się planety i gwiazdy. I dlatego właśnie komety budzą tak wielkie zainteresowanie, że uczeni badając je z bliska — tak jak to będzie w przypadku nadlatującej ku Ziemi komety Halleya — będą mogli odpowiedzieć na wiele nie wyjaśnionych pytań dotyczących historii powstania wszechświata. Astrofizycy zamieniają się w... „archeologów Kosmosu”.

Ludzkosć nie musi się obawiać komety Halleya. Nie znaczy to wcale, że nie oczekuje jej pojawienia się — z niecierpliwością i nawet z pewnym podnieceniem. Ostatnio, okazja obejrzenia komety Halleya zdarza się raz na siedemdziesiąt sześć lat; dla większości ludzi — jeden raz na całe życie. Nic dziwnego, że od Ameryki po Europę i Azję zarówno poważne periodyki naukowe jak i popularne magazyny ilustrowane są wypełnione „kometową” tematyką po brzegi. (Poczytny francuski tygodnik „L'Express”, z którego czerpiemy w tym opracowaniu szereg informacji, poświęcił komecie Halleya czternaście kolumn w jednym ze swych grudniowych numerów). Dodajmy do tego zainteresowanie — bardzo specyficzne — jakie kometa Halleya wzbudziła wśród licznych handlowców i producentów: stan „pełnej gotowości bojowej” osiągnęli wytwórcy różnorodnych gadżetów o kosmicznych motywach: kosmetyków, sportowych czapek, barwnych nalepek z wizerunkiem komety, kalkomanii — „prasowanek” zawierających stosowne napisy i obrazki do opatrzywania pamiłkowalych części garderoby, oraz trykotowych koszulek z napisami w rodzaju: „Jestem jak kometa Halleya: jedyna i niepowtarzalna przystojna w ciągu całego życia”.

Nie pozostali w tyle producenci trunków: ukazała się już na rynku Official Halley Scotch Whisky; producenci płyt wydają stosowne „albumy”, powodzeni cieszą się płytą „The New Rhythms of the Cosmos”. Do akcji ruszyli wydawcy książek: z maszyn drukarskich schodzą coraz to nowe tytuły, mniej lub bardziej wiążące się tematycznie z kometa Halleya: od poważnych dzieł naukowych poprzez popularnienaukowe aż po fabularne opowiadanki z gatunku science fiction obliczone na najbardziej przeciętne gusta. Takie na przykład, jak wydana niedawno we Francji — „La Belle de Halley” pióra Eulage Boissonnade (268 stron tekstu, cena — 82 franki) — powieść, której akcja toczy się w roku 2061, kiedy to specjalny badawczy statek kosmiczny z ludzka załogą na pokładzie dociera do komety Halleya i znajduje w jej wnętrzu... młodą i piękną kobietę w stanie hibernacji.

Dla kontrastu należy odnotować, że dzięki wspomnianemu wydawnictwu „tendrowi” we Francji mogło się ukazać fundamentalne dzieło Isaaka Newtona „Principia mathematica”, które położyło niegdyś podwaliny pod naukę o powszechnej grawitacji; ostatnio przetłumaczono te książki na język francuski w... 1759 r.

W Stanach Zjednoczonych aż 80 różnych przedsiębiorstw zaangażowało się w sprawę zrobienia jak największych pieniędzy „na fali” zainteresowania kometa Halleya. Najwięksi przedsiębiorstwa lotnicze i turystyczne wyszczególniają nie pozostały w tyle chociaż droga do komety — był dla nich daleka: oto to tymczasem Amerykanów będzie mogło wykupić bilety na specjalne loty samolotowe na dużych wysokościach nad półkula południową, skąd — w kwietniu 1986 r. — najlepiej będzie można obserwować kometa. Amerykański wyprzedził Brytyjczyków: „British Airways” zorganizowały w dniach 1 i 2 grudnia 1985 r. specjalne loty, o których „Comet Special” na wielkiej wysokości nad morzem (gdzie istnieje mniejsze zanieczyszczenie atmosfery a więc jest lepsza widoczność). Wolący wycieczkę trzyczęściową: lotów można przelecieć się samolotem i mieć satysfakcję z faktu obserwowania komety w szczególnych warunkach.

Tak więc, zanim jeszcze kometa Halleya pojawiła się przed naszymi oczami, światowy „Comet Show” — został rozpoczęty!

W ciągu minionych tysiącleci ogładano na niebie mnóstwo wielkich i o wiele jaśniejszych komet. Ale tylko ta jedna, odkryta i opisana w XVII w. przez Edmunda Halleya, brytyjskiego astronoma powraca do nas niezmiennie i... jakby łączyła w sobie nasz czas teraźniejszy z tymi wszystkimi okresami historii Ziemi, które ludzkość ma już poza sobą, a także z tymi, które dopiero nastąpią. Kometa Halleya jest swoistym zegarem naszej

szere w jednym ze swych listów: „Pomysł o tej najpiękniejszej ogoni, i ki można było kiedykolwiek zobaczyć”. Ale dla nas bardziej interesująca jest koma, o wiele mniej „spektakularna” — o wiele bliższa od tamtej komety następna, która rozbił się w dwa lata później, w 1682 r. To ona właśnie szczególnie zainteresowała Edmunda Halleya orbita, po jakiej się poruszała, była identyczna z tą, po której mknęły komety obserwowane w roku 1531 oraz 1601.

## A WIĘC JEST ZNOWU! KOMETA HALLEYA WRÓCIŁA DO NAS PO 76 LATACH WĘDRÓWKI POPRZEC OTCHŁANIE UKŁADU SŁONECZNEGO...

historii; tyle, że precyzyjnie odmierzana przez nią doba trwa nie 24 godziny a 76 lat...

Od najdawniejszych czasów dopatrywano się w kształcie i barwie komety bądź to zbroczonej krwią głowy ludzkiej, bądź to żagwi płomiennej, miecza niosącego śmierć, lancy lub oszczepu. Ich „ogon” artystom i prorokom kojarzył się z rozwianymi włosami kobiety pogrążonej w żalobie. Nagle, nie zapowiedziane niczym pojawienie się komety na firmamencie niebieskim, którego stałość i niewzruszoność kojarzyły się ludziom z odwiecznym porządkiem świata, jaki został teraz oto „zakłócony” mogło tłumaczyć się jedynie „gniewem bogów” w którego dalszej konsekwencji mogą spaść na ludzkosć kary i klęski.

W czasach starożytnych najbardziej ze wszystkich narodów wykształceni Grecy byli bezradni wobec owego „nagle” pojawiania się i znikania komety. Powstawały spory i kłótnie: czy kometa to jakieś nieznane planety? A jeżeli są planetami to skąd towarzyszą im „ogony”? A może komety w ogóle nie istnieją? Może to po prostu iluzja, optyczny fenomen powstały na skutek specyficznego refleksu promieni świetlnych? Albo też — jak twierdził Demokryt — są to dwie, bardzo do siebie zbliżone planety, które obserwujący bierze za jedno ciało niebieskie? W IV wieku przed Chrystusem Arystoteles stwierdził, że budowa świata podporządkowana jest hierarchii czterech elementów: ziemia, woda, która ją otacza, powietrze i wreszcie ogień. Te cztery elementy tworzą świat sublunarny, podksiężycowy, świat ludzki. A dalej? Dalej są niewidzialne „sfery”, na których znajdują się gwiazdy świecące: to jest „eter” — „kwintesencja wszechświata”. A czym są komety? To „wyziewy” Ziemi — twierdzono. To gazy suche i gorące, które wybuchają płomieniem wznoszącym się do „sfery” ognia. Stąd też logiczny wniosek, że pojawienie się komety zwiastuje pojawienie się na Ziemi huraganów oraz suszy, trzęsień ziemi i szeregu innych podobnych nieszczęść.

W początkach naszej ery Seneka sugerował, że komety są ciałami kosmicznymi w ruchu, lecz że nie wystarczy ludzkiego życia, aby poznać ich istotę. W czym się zresztą nie mylił... Słowa Seneki na długo jednak poszły w niepamięć: aż po epokę Renesansu — przez dwa tysiące lat! — wierzono w bardzo „obrazową” teorię Arystotelesa. Dla Kościoła wieków średnich „przeklęte gwiazdy”, to znaczy komety, nie mogły, na przykład, znajdować się dalej niż Księżyc. Poza Księżycem rozciągała się już domena Pana Boga... A jednak komety nie zawsze były gwiazdami „przeklętymi” — wszak Gwiazda Betlejemska, która wiodła mędrców ze wschodu, oraz biednych pasterzy do Stajenki, była właśnie kometa. I ją to miał później uwiecznić (w 1301 r.) Giotto w obrazie „Adoracja magów”...

Rok 1543 przyniósł rewelację w badaniach astronomicznych: Mikołaj Kopernik odwrócił twierdzenie Arystotelesa — Ziemia nie jest centrum wszechświata! W 1577 r. duński astronom, Tycho Brahe, wyznający naukę Kopernika, obserwując jedną z komet doszedł do wniosku, że jest ona oddalona od Ziemi bardziej niż Księżyc, a w takim razie nie może być w żadnej mierze „fenomenem” ziemskim. W 1601 r. Kepler odkrył, że planety krążą po orbitach eliptycznych. A czy także komety? To ostatnie pytanie zadał sobie Edmund Halley. I doszedł do wniosku, że tak. Jego przyjaciel, Isaac Newton, mieszkający i wykładający w Cambridge, potwierdził to przekonanie.

W 1680 r. na niebie pojawiła się kometa, o której pani de Sévigné napi-

Wiecej: wertując w archiwach zapiski dawno już nieżyjących astronomów, Halley odkrył, że komety z lat: 1456, 1378 i 1301 również poruszały się po tej samej orbicie. Rozpiętość między tymi wszystkimi datami wynosiła przeciętnie 76 lat... Wtedy Halley uświadomił sobie, że była to wciąż ta sama kometa. Ta, którą teraz, w 1682 r., widział właśnie nad swoją głową. Ze w tej właśnie chwili potwierdziły się intuicyjne przekonania Seneki, a prze-



Edmund Halley

Rys. Józef Tarłowski

de wszystkim obliczenia Newtona i jego nauka o powszechnej grawitacji. „Mogę z całą pewnością — napisał w jednej ze swych prac Halley — zapowiedzieć powrót komety w roku 1758”.

„Halley mówi, poci się oraz pije brandy nieczym kapitan żegluga wielkiej” — pisał uszczupliwie zazdrościwy Halleyowi sławy, rezydujący przy dworze angielskim astronom królewski, John Flamsteed.

Trzeba przyznać, że w złośliwościach znanego uczonego było wiele prawdy. Sir Edmund Halley był z pewnością człowiekiem niecodziennej miary. Nie tylko jako uczyony. Ow syn bogatego kupca angielskiego, urodzony w 1656 r. w jednej z podlondyńskich wsi, przejawiał niezwykle talent naukowy, ale nie stronił też od butelki. W ślad za Keplerem pasjonował go ruch planet, z ogromnym zacięciem oddawał się studiom astronomicznym. Potem jednak nagle porzucił studia, opuścił Oxford i wyruszył na... wyspę Sw. Heleny, gdzie spędził cały rok obserwując niebo i kompletując jego mapę. Po powrocie do Anglii zaczął się cieszyć coraz większym uznaniem, także — królewskim, mimo że usposobienie miał awanturnicze, lubił dobrze wypić i dobrze się zabawić. Tak był właśnie w 1682 r., kiedy w wieku 26 lat rozpoczął obserwacje i dociekania na temat „swojej” komety, i taki pozostał w wieku dojrzałym. W pewnym momencie doszło do tego, że uznany przez nieprzyjaciół za heretyka i... „lubieżnika” musiał opuścić swój naukowy fotel w Oxfordzie.

Gdy miał 42 lata, w 1698 r. towarzyszył w podróży poznawczej po Anglii rosyjskiemu carewiczowi Piotrowi, późniejszemu władcy Rosji, carowi Piotrowi Wielkiemu. I w owej podróży wprowadzał go — jak

twierdził ówczesni świadkowie — tyłek w sukna astronoma, co w smutnej nauce posługiwania się butelką angielskiej brandy. Pewnego razu widziano nawet przyszłego cara złozonego — oś wiek w wyjątkowo huczałej iluzji — prawie „bez ducha” na łóżkach, które pchał w kierunku kwatery jeszcze zgola dobrze trzymający się na nogach — Halley.

Po śmierci Flamsteeda objął w wieku 66 lat stanowisko królewskiego astronoma, pozostał na nim przez następnych lat 36, aż do chwili śmierci, która nasza go pewnego wieczora w jego obserwatorium astronomicznym, i która „powitał” — jak twierdzi niektórzy biografowie — kielichem pełnym winą.

W 1758 r., gdy Halley od 16 lat już nie żył, jego teoria potwierdziła się w pełni. W wieczór Bożego Narodzenia tegoż roku jeden z astronomów amatorów wypatrzył okiem swego teleskopu „jego” kometa. W kilka miesięcy później naukowcy potwierdzili obecność na niebie zapowiadanej komety. Nauka zwyciężyła. A kometa otrzymała imię Halleya...

W 1835 r. pojawiła się znowu, a następnie — w r. 1910; i wtedy też, po raz pierwszy, została sfotografowana. Wówczas znowu też powiało na świecie groza. Niektórzy uczeni przypuszczali bowiem, opierając się na błędnych obliczeniach, że w pewnym momencie Ziemia będzie musiała przejść przez „ogon” komety i wtedy atmosfera ziemską zostanie „zatruta” lub też pozbawiona tlenu. Ludzkość była na granicy paniki. Pewien szarlatan z Teksasu zrobił fortunę na wymyśleniu przez siebie „Comet pills” — pigułek na podtrzymanie życia, które należało zażywać co godzinę. Ostatnio, żadna z zapowiadanych grób się nie spełniła, ogon komety „przeszedł” w ogromnej odległości od Ziemi. I tak oto kometa definitywnie przestała nas straszyć.

Chociaż... niektórzy współcześni uczeni czynią je odpowiedzialnymi za wyginiecie — przed dziesiątkami tysięcy lat — dinozaurów. Sa tacy, którzy twierdzą także, że komety przynoszą jakoby ze sobą wirusy i bakterie. „Czy więc — pyta „L'Express” — nie uczyni się wkrótce komety odpowiedzialnymi za... pojawienie się na świecie AIDS?”

Co do jednego nie ma wątpliwości: kometa Halleya zbliża się ku Ziemi. Po raz pierwszy dostrzeżono ją wieczorem 16 października 1982 r. za pośrednictwem gigantycznego teleskopu z obserwatorium na górze Palomar w Kalifornii; pojawiła się wówczas jako słaby dysk w konstelacji Małego Psa, za orbitą Saturna. Trzeba było całych trzech lat, aby dotarła w pobliże Ziemi.

W grudniu 1985 r. można było ją dostrzec — w bezchmurne noce — gołym okiem, w pobliżu Marsa. W styczniu będzie widoczna nisko nad horyzontem, później stanie się niewidoczna aż do kwietnia. W marcu nastąpi cały szereg „spotkań bliskiego stopnia” z kometa — po drugiej stronie Słońca — za sprawą specjalnie wysłanych w tym celu sond badawczych. 6 marca radziecka sonda „Vega 1” znajdzie się w odległości 10 tys. km od jądra komety; w trzy dni później — „Vega 2” podejdzie na 3 do 10 tys. km. 8 marca będą obserwować kometa sondy japońskie: „Sakigake” (z odległości 4—5 milionów kilometrów) oraz „Suisei” (z odległości 200 tys. km). Natomiast w nocy z 13 na 14 marca — rzecz wrecz niewiarygodna — europejska sonda „Giotto”: wypełniony przyrządami pomiarowymi metalowy „cylinder” o długości 3 m zbliży się — lecąc z szybkością 70 km na sekundę — na zaledwie 500 kilometrów od jądra komety! Jego anteny telewizyjne przekażą na Ziemię obrazy niezwykle: obrazy „wnętrza” komety!

W kwietniu kometa Halleya, po zatoczeniu łuku wokół Słońca, zbliży się do Ziemi najbardziej. Będzie wówczas najjaśniejsza, najbardziej świetlista. Jakby na pożegnanie przed kolejnym zanurzeniem się — na trzy czwarte stulecia — w ciemność Kosmosu.

Jak będzie wyglądała nasza Ziemia, gdy kometa znów powróci?

Opracował: M. D.



## Seksowna Madonna

NIE wiem, jak przyjęli członkowie grupy Lady Pank propozycję wspólnych koncertów promocyjnych w USA z Madonną. Wiem natomiast, że nikt z wykonawców nie uznałby za zaszczyt występować razem z wokalistką osiągniętą (dzięki stosownej reklamie firmy Warner Brothers) światową karierę. Dla Madonny, uznawanej nową seksbombą Ameryki, uwielbianą jest pod różnymi szerokościami geograficznymi, a jej płyty osiągały wielomilionowe nakłady. Trudno odpowiedzieć jednoznacznie, czy decyduje o tym bardziej uroda piosenkarki, czy może jej głos. Podejrzewam, że jedno i drugie.

plarzy płyty. Utwory pochodzące z niej — „Material Girl”, „Angel”, „Crazy For You” i „Into the Groove” do dziś zajmują wysokie pozycje w notowaniach światowych przebojów.

Madonna jest bez wątpienia piosenkarką komercyjną, wykreowaną z pomocą znacznych nakładów na reklamę, zdecydowaną na szybki i błyskotliwy sukces. Osiągnęła go całkiem gładko. Śpiewa miłym ciepłym głosem melodyjne piosenki o miłości, które



25-letnia Madonna, Louise Ciccone, wyrasta w przekonaniu młodych Amerykanów na następczynię Marilyn Monroe. Porównania ze zmarłą gwiazdą kina nie są wcale przypadkowe. Madonna chętnie przebiera się w suknie szyte na modę Marilyn, lansuje podobną fryzurę i zamierza w przyszłości poświęcić się karierze filmowej. Czy powodzenie estradowe będzie przepustką do sukcesów na srebrnym ekranie, trudno przewidzieć. Na razie ma za sobą udaną rolę w filmie „Desperately Seeking Susan” i przymierza się do realizacji następnego obrazu. Chciałaby nawet zostać reżyserem. Obecnie Madonna uchodzi za gwiazdę, która potrafiła zdystansować (nie tylko w USA) Pat Benatar, Cyndi Lauper i Tina Turner. Oba albumy Madonny — „Holiday” i „Like A Virgin” — cieszą się niesłabnącym zainteresowaniem nabywców, czym robią kasę firmie Warner Bros. Wraz z powodzeniem przebojowych piosenek amerykańskie nastolatki naśladują swoją idolkę, noszą trykotowe bluzki kolorowe fryzury i bransoletki, zakładają koleżki w kształcie krzyżyków. Madonna o powabnych kształtach jest dla wielu dziewcząt wyrocznią młodzieżowej mody, choć ona sama chętnie pozowałaby na kogoś innego.

Madonna Ciccone, urodzona w Bay City, chlubi się włoskim pochodzeniem. Pewnie dlatego przy różnych okazjach podkreśla swój śródziemnomorski temperament. Z muzyką zetknęła się bardzo wcześnie. Za namową ojca uczyła się gry na fortepianie, nie zapominając o lekcjach tańca i baletu. W szkole baletowej w Rochester nauczyła się stopowania i tańca nowoczesnego. Wykazywała spore postępy w nauce, więc otrzymała stypendium na uniwersytecie w Michigan. Nie ukończyła go jednak. Bardziej od baletu pociągała ją estrada, kojarząca się z aplauzem tłumów. Dlatego też zdecydowała się na podróż do Nowego Jorku. Zdobyła tam niezbyt wiele, tym bardziej że była bez pieniędzy, gdyby nie została do grupy Alvina Aileya. On wprowadził Madonnę w artystyczny świat.

Dziewczyna, świadoma swych wdzięków, stała marzyła o wielkiej karierze, która dziwnie nie chciała przyjść. Aby ją przyspieszyć wyjechała do Paryża z grupą dyskotekowego piosenkarza, Patricia Hernandez. Niestety w europejskiej stolicy piosenki nie udało się Madonnie wiele zwojować. Wróciła zatem do Nowego Jorku i chwyciła się różnych zajęć (m. in. tancerki dyskotekowej i fotomodelki). Kiedy była już blisko poddania się, otrzymała pomoc firmy fonograficznej Sire. Dzięki rytmicznej muzyce i niemałemu wdziękowi pierwszy album wykonawczyni „Holiday” osiągnął tytuł Platynowej Płyty. Piosenki „Bordeline”, „Lucky Star” i „Holiday” zaważowały listy bestsellerów. Podobnie stało się po premierze drugiego, znacznie dojrzałego krążka „Jak dziewczyna”. Tylko w ciągu trzech miesięcy sprzedano 3,5 miliona egzemplarzy.

chwytają za serce ludzi w różnym wieku, nie tylko nastolatków. Nie jestem wcale przekonany, że jej kariera przetrwa zbyt długo. Przypuszczam, że artystka ma tego świadomość, bo przy okazji konferencji prasowych nie zapomina wspominać o podziw dla kina i zamiarach porzucenia estrady na korzyść filmu. Wygląda to nieco na asekurację przyzwyczajonej już do splendorów i zaszczytów gwiazdy. Jak sama twierdzi, uwielbia być w centrum zainteresowania, oglądać ekspresję w oczach ludzi, emocje i ekstazę. Nie wiadomo tylko, jak długo ta ekstaza będzie jej towarzyszyła. Sztuka Lady Madonny sprawia wrażenie cokolwiek cukierkowej i ulotnej, zdolnej przetrwać maksimum kilka sezonów. Na razie wokalistka korzysta z uroków życia i sławy. Uwielbia ubierać się szalowo i otaczać przystojnymi młodzieńcami, co najlepiej oddaje teledysk piosenki „Material Girl”, dosyć często eksponowany przez naszą telewizyjną Dwójkę.

W młodości, jak wspomina, czuła się przez wiele lat ubogim Kopciuszkiem. Dziś jest wreszcie prawdziwą damą. Na brak szczęścia nie narzeka. W sierpniu ub.r. poślubiła w Malibu przystojnego aktora Seana Penna. Jedno, co się jej nie udało, to zdobyć kluczy do bram rodzinnego Bay City. Ojciec miasta odmówił uroczystości fetowania wielkiej rodaczki z prozaicznego powodu zamieszkania w „Penthouse” serii skandalizujących zdjęć erotycznych Madonny z czasów, kiedy lubiła pozować nago. Artystka uznała incydent za przejaw mieszczańskiej prudencji, z którą ona „Sirena seksu” nie miała się liczyć. Jest przekonana, że rok 1985 będzie z pewnością okresem jej triumfu.

WIELE się dyskutowało o problemie muzyki w szkole. Do jakiegoś czasu była ona zawsze Kopciuszkiem. Wygląda na to, że wreszcie wybrała się na bal. Gdzie ją można ujrzyć ubraną w strojne szaty, z rumieńcem na policzku i odrobina tremy w sercu? Na festiwalach organizowanych dla dzieci. Daleko szukać nie potrzeba. W Lublinie odbywają się one dość często, pod patronatem różnych instytucji, które prześcigają się w pomysłowości na ustalanie regulaminów i przydzielanie nagród.

Ale zaczniemy od początku. W moich młodych latach śpiewałam w szkolnym chórze. Nie pamiętam, czy dobrze, pamiętam natomiast, że chór ten nie ruszył się poza szkolne mury. Śpiewaliśmy na jakichś uroczystych akademiach, bardzo nieregularnie. Nauczyciel muzyki nie robił tragedii, kiedy na próbę nie przyszła połowa jego podopiecznych, bo żył w przekonaniu, że i tak ta zbieranina do niczego nie dojdzie.

Teraz ma się nadzieję na osiągnięcie sukcesów i zdobywanie nagród, więc w niektórych szkołach istnieją całe klasy o muzycznym profilu, co ułatwia nauczycielowi pracę o tyle, że ma cały zespół pod ręką. Jakie są tego efekty? Ano, bardzo pozytywne. W większości szkół działają zespoły wokalne i instrumentalne, a w wielu nawet po kilka. Kopciuszek wyszedł z ukrycia i, co więcej, zaczął być doceniany. Ale tak to już jest, że aby zaczęto nas cenić na własnym podwórku, musimy być przecenieni na obcym. Po to między innymi wymyślono festiwale piosenki. Bywałam na różnych, a ostatnio, przez przypadek, znalazłam się na organizowanym przez Związek Nauczycielstwa Polskiego i Wydział Oświaty i Wychowania II Festiwalu Piosenki Dziecięcej. Jaki był? Otóż gdyby go chciał określić jednym łagodnym słowem — chaotyczny. Gdyby go zaś chciał opisać w kilku zdaniach wyglądałoby to

## Kopciuszek na wyboistych dróżkach

Irena Filus

tak: w niewielkiej salce Bomu Nauczyciela zgromadzono kilkuset uczestników festiwalu plus osoby towarzyszące. Żeby zapewnić tak ostatnio modny tłok, zaproszono jeszcze dzieci z kilku szkół podstawowych i zamieszczono anons w prasie. Na szczęście w sobotę w telewizji ogląda się „Domek na prerii”, który jest bardziej interesujący od festiwalu. Tłok więc był, ale do przeżycia.

Na estradzie, mimo że też był tłok trwający kilka godzin, jak dobrze policzyłam, wystąpiło zaledwie kilka szkół w różnych proporcjach. Bo na przykład chór Świerzeżyki (Szk. Podst. nr 27) śpiewał tak dużo piosenek, że aż trudno było zliczyć, zespół Solmiki (Szk. Podst. nr 7) zaprezentował tylko dwa utwory, sławne już Kalamarze (Szk. Podst. nr 30) zaśpiewały pięć piosenek itd. Oceniano dobór repertuaru, emisję, dykcję, interpretację, choreografię, ogólny wyraz artystyczny i dyscyplinę sceniczną. Rozróżniono kategorie: chóry, zespoły wokalne, wokale - instrumentalne, soliści. Postanowiono przyznać nagrodę najlepszej piosence premierowej oraz nagrodę publiczności. Pragnę nadmienić, że muzykę i słowa do większości piosenek napisał Janusz Nowosad a dopiero na następnych miejscach znaleźli się Teresa Krasicka (prowadząca zespół „Kalamarze”) i Jan Brzechwa.

Słowem pomieszanie z popłataniem, które mogłoby mieć usprawiedliwienie na swobodnej plenerowej imprezie z okazji Dnia Dziecka.

A po co organizuje się taki festiwal? Nie pytałam o to, bo z góry wiem, co by mi odpowiedziano. Np.: dzięki temu nauczyciele muzyki czują się wreszcie docenieni, dla dzieci występ na estradzie jest wielkim przeżyciem i jednocześnie nagrodą za ich trud, festiwal to forum, na którym wymienia się doświadczenia, i zachęta dla innych.

Wszystko to bardzo pięknie i nie wypada się z tym nie zgodzić, natomiast wśród ochów i achów zapomina się o jednej bardzo ważnej rzeczy, która powinna stanowić cel nadrzędny: o ochronie społeczeństwa przed muzyczną głuchotą!

Tymczasem na festiwalu najbardziej brakowało mi poszanowania dla muzyki. Dzieci biegały między krzesłami, głośno rozmawiały, wstawały w połowie czyjegós występu trzaskając ostentacyjnie siedzeniami, bo właśnie one w następnej kolejności miały wyjść na scenę. Jeśli nie przeszkadzało to w czasie występu kilkudziesięciuosobowego chóru, który na dodatek śpiewa rozrywkowe piosenki, to bardzo raziło w trakcie występu zespołu Flet ze szkoły nr 16, mającego w repertuarze utwory wymagające skupienia i perfekcji wykonawczej. Dorosli zachowywali się jeszcze gorzej, uspokajając głośno źle zachowującą się młodzież, czy też wiodąc niczym nie skrepowane dyskusje na sali koncertowej. To wszystko kojarzyło się z tzw. „graniem do koleśki”. Niestety, żadnej reakcji ze strony jurorów nie było. Widocznie im nie było w stanie przeszkodzić.

Dowiedziałam się w kulisach, że zbliża się następny festiwal, tym razem wojewódzki. Ludzie, opamiętajcie się! Zanim go zorganizujecie, usiądźcie spokojnie, każdy w swoim fotelu. Postuchajcie Mozarta, Beethovena, Chopina, a jak nie możecie ich znieść, to chociażby Beatlesów i na pewno ogarną was dobre myśli. Trochę mogą podpowiedzieć, postarajcie się o odpowiednie sale, albo o odpowiednie nagłośnienie, obliczcie, ile jest miejsc i ilu uczestników weźmie udział w festiwalu, zróbcie dzieciom wykład jak się powinien zachowywać prawdziwy słuchacz, a i wy przemyslcie to sobie wcześniej. Nagradzajcie przede wszystkim nauczycieli, bo to pierwsze, drugie i trzecie miejsce to głównie ich zasługa. Jeśli już dajecie dzieciom nagrody rzeczowe to wszystkim takie same. Może trzeba, żebyście przypomniałi sobie kilka bajek? Nie wiem, czy pamiętacie, że i Kopciuszek miał konkurentki. Ale czy to do niego dotarło? Nie. Tkwił w nieświadomości i był szczęśliwy.



# Nasza Isaura

AUTOR:  
MARIAN  
JASKIER

14

— Jak się panu spalo, panie inżynierze? — Wanda rzuciła Leonowi wymowne spojrzenie.

— Dziękuję, można wytrzymać!

— Ja zasnąłem dopiero po północy. Wie pan, zdobyłam tę głośną książkę o Skiroławkach. Jakże rzeczy tam się wypisuje! Czytał pan?

— A kiedy ja mam czas na lekturę! Ledwie zdążę przejrzeć gazety i przelecieć wzrokiem po tytułach. Człowiek się cofa zamiast iść naprzód; gdyby nie telewizja, to bym nie wiedział, co się dzieje na świecie! Może zresztą byłoby lepiej, gdyby i telewizji nie oglądał? Kataklizmy, zamachy, powodzie, bałaganiarstwo, złodziejstwo, żyć się nie chce.

— Ty, Leon — wtrącił się Wacek — pilnuj tego, z czego chleb jesz. Mnie tam nie obchodzi to, co się dzieje w Libanie czy na drugiej półkuli. Jak świat światem, zawsze ludziska się lali, do oczu sobie skakali, ale Ziemia jak się kręciła, tak i dalej się kręci. Ja tam nie lubię filozofować, co ma być, to i tak będzie. Teraz zbliża się do nas ta kometa Halleya, cztery lata przed pierwszą świa-

tową też się pojawiła. Może machnie ogonem i zamiesza na naszej planecie?

— Pocięsz! Co siedemdziesiąt sześć lat nas odwieść i jakoś ten świat się kręci. Ja bardziej boję się ludzi niż sił niebieskich. Kiedy się pomyśli, ile tych wodorówek już naprodukowano, to ciarki przechodzą po grzbiecie. Idę do roboty, bo gadać się nawet nie chce.

— Fajno, fajno! Trzeba będzie w maluchu skrzy- nie biegów wymienić.

— A może byśmy się najpierw kawy napili? Woda już się grzeje! — Wanda uśmiechnęła się kokieteryjnie.

— Nie rozpuszczaj nas! I tak mamy już zaległości, z tą skrzynią prawie o tydzień opóźniliśmy się. — Wacek jakby wahał się nieco.

— Zwalisz na dostawy! Co to dzisiaj wszystko można kupić? Na każde żądanie? Dzisiaj się załatwia, a nie kupuje. Niby ty o tym nie wiesz? Robota zresztą nie zajac, a niadze szczęścia nie dają. Rymnęło mi się przy okazji. Nic się, Wacek, nie bój, moja siostrzyczka pojechała do miasta i, jak ją znam, szybko nie wróci!

— Niby ja się jej boję?! Też wymyśliłaś! — Wacek obruszył się, ale Wanda dobrze wiedziała, jak go podejść. Już nie oponował. Leon też był zadowolony z takiego obrotu sprawy, bo dziś wcale nie palił się do pracy.

Pili kawę, ale podjechał jakiś klient i wywołał Wacka. Leon chciał pójść razem z nim, ale Wacek — chcąc najwidoczniej zrehabilitować się za cierpkie powitanie — oświadczył, że sam go załatwi. Wanda została więc sam z Leonem.

— Co pani dzisiaj robi po południu? — zapytał.

— Wie pan, nie mam żadnych planów. Jeśli ma pan czas, moglibyśmy gdzieś wyskoczyć poza miasto. No, ale wiem, że żona pana pilnuje!

— Jakoś sobie poradzę, nie jest tak źle!

— Dawno nie byłem w Zamościu. Moim wozem dojeżdżemy za niecałą godzinę.

— To niezła propozycja, ale muszę trochę ponarocować. A jeszcze obiecałem Wackowi, że to opóźnienie też jakoś nadrobię.

— Niech się pan nie przejmuję, ja go dobrze znam. Ma swoje humorki, ale pastrój zmienia się u niego jak w kalejdoskopie. Zresztą ja coś wyślę i wyrwemy się o drugiej.

IX

Wanda nie musiała specjalnie główkować, bo dzisiaj i Wacek nie był zbyt chętny do roboty. Zamknęli warsztat o czternastej i już piętnaście minut później Wanda z Leonem mknęli w kierunku Piask. Oczywiście wstąpili na flaki, które błyskawicznie podano im na stół.

— Znakomite! — zachwyciła się. — W Warszawie takich nie jadłam!

— A pani myśli, że w stolicy to wszystko jest najlepsze? Prowincja też się może czymś pochwalić!

Minęli rozkopany Krasnystaw, na stacji benzynowej napełnili bak do pełna. Później w Zamościu długo chodzili po Rynku.

— Strasznie tutaj pusto. Niby ładnie, ale ten Rynek przypomina mi kamienną pustynię. My nie umiemy dobrze sprzedać tego, co mamy. Przecież tu można ściągać wycieczki z całej Europy, ale ludziom trzeba zapewnić jakiś standard!

Zaszli do hotelowej kawiarni, wszystkie stoliki były zajęte, obficie raczono się piwem.

— I to jest wizytówka Zamościa?! Dziękuję.

— Wpadnijmy do „Jubilata”, tam jest lepsza sala restauracyjna.

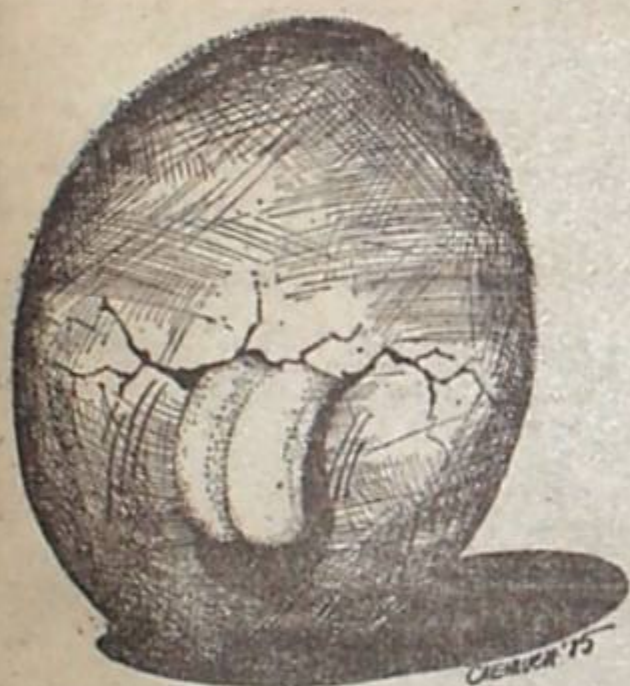
Podjechali na drugi koniec miasta. W hotelowym barku zajęli miejsca na wysokich stołkach. Przystojna barmanka, pani Kryśka — tak się do niej zwracano — na razie nie miała zbyt wiele pracy.

— Czym mogę państwu służyć — spytała uprzejmie.

(cdn.)

## Remanent

z 1985 r.



Rys. Zbigniew Cieniuch



Rys. Zbigniew Cieniuch



Rys. Józef Tarłowski



Rys. Zygmunt Pytlík



Rys. Zygmunt Pytlík



Rys. Szczepan Sadurski



Rys. Szczepan Sadurski



Rys. Jan Surma

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kociński (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Marta Denys, Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (komentator), Lidia Wójcik (redaktor techniczny) — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo skrótu. W sprawach literackich otrzymuje interesantów kierownik działu w odtaki w godz. 14-18.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Unicka 1.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Jasna 8 tel. 253-30.

Adres redakcji: 20-026 Lublin ul. Skłodowska 2/1.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-33.

Korespondencje zwłokę prosimy kierować pod adresem: 20-026 Lublin skrytka pocztowa 231 polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 2378/84, 29.12.1983, I-4.



# - Najbardziej cenię rodzinę...

## ROZMOWA Z ANDRZEJEM GRUBBĄ

— Panie Andrzeju, co pan ceni w życiu najbardziej?

— Rodzinę. Kariera sportowa jest przecież tylko epizodem. Jest jednym z działań skierowanych ku rzeczom trwałym, jak każdy inny zawód. Uczucia, jakimi darzy się rodzinę, pozostają jedynymi w swoim rodzaju. Bardzo rzadko ludzie zadają mi to pytanie.

— Czy nie męczą pana takie np. spotkania z młodzieżą?

— Absolutnie. Traktuję je nawet jako obowiązek wobec swojej dyscypliny. To ona przyniosła mi sukces. Jestem więc zobowiązany do jej popularyzacji.

— Czy potrzebuje pan obecnie trenera?

— Tak. Przede wszystkim w sensie psychicznym, a także, jako czynnik „sprawdzania na ziemi”. Tenis stołowy jest sportem niezwykle wyczerpującym. Ci, którzy grali w ping-ponga przynajmniej po amatorsku, na pewno pamiętają, że nie przynosi on nawet typowego rozładowania fizycznego. To sport skupienia i koncentracji, dlatego tak męczy psychicznie. Wtedy zawodnik potrzebuje wsparcia od kogoś, komu ufa. Sportowiec posiada także naturalną tendencję do wpadania w stan samozadowolenia. Zwłaszcza jeśli osiąga sukcesy. I znowu potrzebny jest ktoś, kto uświadomi mu na nowo, że nie jest doskonały, gdyż doskonałość po prostu nie istnieje.

— Czy reklamuje pan jakąś firmę i za ile?

— Tak. Ja i Leszek reklamujemy japońską firmę Butterfly. PZTS podpisał z nią umowę w 1977 roku. Na jej podstawie jesteśmy zobowiązani do używania wyrobów tej firmy. Reklamą spłacamy sprzęt, który firma dostarcza związkowi. Dotyczy to również mnie indywidualnie. Otrzymuję od Butterfly nieodpłatnie sprzęt, w praktyce w dowolnej ilości.

— Jak mógłby pan wytłumaczyć ostatnią karierę tzw. sportów dla każdego, jak np. ping-pong, szczyptorniak itd.? Ostatnie sukcesy w tych dyscyplinach przewyższają dokonania dyscyplin bardziej elitarnych.

— Są to sporty niezbyt drogie. Nie wymagają specjalnych nakładów finansowych, są zatem dostępne dla szerokiego ogółu. Im większa liczba osób, uprawiających dany sport, tym większa szansa na pojawienie się talentów. Przy odpowiedniej pracy i pokierowaniu z talentów wyrastają mistrzowie.

— Co by pan robił, gdyby nie grał pan w tenisa? — Grałbym w piłkę nożną. W każdym razie na pewno w coś bym grał. Mam na myśli, oczywiście, sport.

— Jak mógłby pan porównać tenis ziemny i stołowy, w sensie uprawy, organizacji zawodów?

— Reklama tenisa stołowego jest mniejsza i pieniądze zaangażowane w ten sport także. Często organizacyjna obu odmian tenisa zajmuje się jednak ta sama organizacja — IMG (International Management Group). Podobnie więc, jak tenisiści ziemni mamy swoich managerów, coachów i całą tę oprawę. Nadal jednak pozostajemy trochę w cieniu tej drugiej odmiany tenisa.

— Obserwowałem pana na treningu i odniosłem wrażenie, że to Leszek Kucharski jest grzeczny i miły. Wydawał pan okrzyki niezadowolenia, rzucał rakieta o stół, zgniótł nogą celuloidową piłkę...

— To zależy od aktualnej sytuacji na stole. Bywa również odwrotnie. Nie miałbym jednak nie przeciwko temu, gdyby to mnie nazywano tym „nerwusem”. Nie odbiegałoby to zbyt od prawdy. W naszym sporcie ogromne znaczenie ma szansa wyładowania się. Mecz oficjalny to przez cały czas ogromne napięcie psychiczne. Nawet wtedy widzi się u graczy gesty irytacji, czy podrażnienia. Na treningu można dać upust tym uczuciom w sposób bardziej żywiołowy. Kiedyś trenerzy próbowali nakładać na nas kary za tzw. niewłaściwe zachowanie się na treningu. Całe przedsięwzięcie szybko się jednak załamało. Tego nie można opanować. Nie trzeba nawet próbować.

— Tak wiele czasu spędza pan przy stole ping-pongowym. Czy to już pana nie nudzi?

— Jest zupełnie odwrotnie. Właśnie teraz granie sprawia mi największą frajdę. Nazwałbym to rodzajem sportowej stabilizacji z dreszczykiem. Ciągłym bodźcem emocjonalnym do gry jest osiągnięta pozycja. Rzadko, bardzo rzadko, gram tzw. mecze nieciekawe. Każdy mój przeciwnik stawia sobie za punkt honoru, aby ze mną wygrać. Każdy zmusza mnie do maksymalnego wysiłku. Na turnieju w Sztokholmie omal nie odpadłem w drugiej rundzie, grając z młodym Koreańczykiem. W decydującym secie przegrywałem już 6:11. On bardzo chciał mnie pokonać i włożył w ten mecz maksimum siły i umiejętności. Gdzie tu miejsce na nudę?

— Jaka jest pańska obecna pozycja na światowej liście rankingowej, po zwycięstwach w Sztokholmie i Kopenhadze?

— Taka listę sporządza się co pół roku. Jak dotąd, nie jesteśmy jeszcze komputeryzowani jak np. tenisiści ziemni. U nas rotacja nie jest tak duża. Turniej w Kopenhadze był turniejem półrocznym. Natomiast myślę, że dzięki zwycięstwom w Sztokholmie podskoczę o jedno lub dwa oczka do góry. Oznaczałoby to piąte, czwarte miejsce na świecie.

— Gdyby sporządzono listę dziesięciu najbogatszych ludzi w Polsce, na którym miejscu by się pan znalazł?

— Myślę, że miałbym kłopoty z „załapaniem się” do pierwszego tysiąca. Wśród sportowców może byłbym w pierwszej setce. Taka jest prawda. Opinie o moich krociowych zarobkach są mocno przesadzone.

— Panie Andrzeju, jest pan obecnie, grając w lidze RFN, Polakiem z Grenzau, a nie opodal pana mieszka pański dawny kolega klubowy z Gdańska, Niemiec z Hanoweru — Władysław Kozakiewicz. Co pan sądzi o jego decyzji?

— Uważam, że każdy posiada swoje własne motywacje do podejmowania takiej, czy innej decyzji życiowej. Uważam także, że jeśli ktoś czuje się Niemcem, to jego miejsce jest w Niemczech. Znając jednak Władka, znając jego sytuację finansowo-ambicjonalną, jego działania w przeszłości, m.in. sposób rozliczania się z PZLA, uważam, że u podstaw jego decyzji leżały działania przeszłe. Powiem więcej, uważam, że była ona wynikiem pewnego infantylizmu życiowego, który nie objawił się nagłe. Jest w tym jakiś smutny dramatyzm.

— Co to jest Grenzau, pański klub i nowa przystań życiowa?

— Jest to wieś licząca około tysiąca mieszkańców, a zarazem potężny ośrodek sportowy, a konkretnie ośrodek tenisa stołowego. Znajdują się tam dwie hale sportowe, hotel, restauracja, kawiarnia i szkoła tenisowa. Wielu zamożnych ludzi przyjeżdża tu na czynny wypoczynek zwłaszcza w weekendy. Jest to z pewnością ogromnie dochodowa inwestycja, która jest własnością mojego obecnego szefa, p. Stettnera. Ośrodek w Grenzau jest odpowiednio rozreklamowany i doskonale zaprojektowany. Mieszkam tam w apartamencie hotelowym i mam doskonałe warunki do treningu i odnowy. Korzystam także w sensie sportowym, gdyż obok mnie występuje w tym klubie dwóch reprezentantów RFN i gra z nimi jest dla mnie bardzo korzystna z punktu widzenia szkoleniowego.

— Czy pan jeździ?

— Oplem Kadett, rocznik 1985, diesel.

— Jak ma pan plany na najbliższą przyszłość?

— Och, przede wszystkim krótki odpoczynek w gronie rodzinnym, w Tarnowie, u rodziny żony.

— Takich chwil bardzo mi potrzeba.

— Niech pan opowie coś o swojej żonie.

— Pochodzi z Tarnowa. Jest młodszą ode mnie o rok. Ma 26 lat. Grała kiedyś w piłkę ręczną, 75 razy występowała w reprezentacji Polski. Jest blondynką. Ma 165 cm wzrostu. Bardzo mi się podoba.

— Dziękuję za rozmowę i życzę dalszych sukcesów w życiu i karierze sportowej.

Rozmawiał: Wiesław Horabik

## Archiwum mistrzów anegdoty

Znany humorysta amerykański, Mark Twain, spotkał się na przyjęciu z jakimś sławnym muzykiem.

— Bardzo się cieszę z poznania pana, drogi mistrzu — rzekł Twain do pianisty. — Sam wprowadziłem nie gram na żadnym instrumencie, ale muzykę kocham! Pianistę wyraźnie wzruszyło to wyznanie Twaina. Ten zaś ciągnął dalej:

— Kocham muzykę szczególnie dlatego, iż dzięki niej żyję!

— Czy podobna? — zapytał muzyk. — Kiedy byłem małym chłopcem — mówił Twain — pobliska rzeczka zalała całe miasteczko. Woda uderzała się także do naszego mieszkania. Matka schroniła się na strych, a ojców wsiadł do łódki i spuścił ją na wodę, tak jak tratwę.

— A pan? — zapytał głęboko wstrząśnięty muzyk. — Ja zawdzięczam uratowanie życia właśnie muzyce. Uczyniłem podobnie jak mój ojciec, tylko użyłem do tego fortepianu.

Słynny publicysta, satyrk i polityk, Rivaroli, słynął z ciętych odpowiedzi. Gdy pewien zarozumiały chwalił się, iż zna błęgie cztery języki, ten odpowiedział:

— Ach, taki masz pan tedy cztery wyrazy na jedno słupstwo. Wzruszył!

Ludwik XVI, mając do rozstrzygnięcia niezmiernie trudną kwestię, posłał do Rivaroli

z prośbą o radę. Kiedy przybył do niego posłaniec króla Malesherb ten rzekł:

— Powiedz królowi, aby był królem!

Do słynnego wirtuoza, Rubinstein, zgłasza się adeptka sztuki pianistycznej z prośbą o ocenę jej gry. Po grze pyta:

— No i co pan radzi?

— Wyjdź pani co prędzej za mąż!

Wyspierał: Ryszard Dunin

## Krzyżówka nr 1 z szyfrem

Poziomo: 3. jedna czwarta, 5. nie-ciałość, 8. bywa z mankietem, 11. cesarz, 12. Podhalanin, 13. roślinna lecznica, 14. hierarchia urzędu lub władzy, 17. miasto w Zagłębiu Ruhry, 19. dawny statek, 20. diabeł, 21. buduje piec, 22. w jaskini po przekąskach, 24. z ujęcia w Dobczycach dostarcza wodę Krakowowi, 26. kawior, 27. np. PN lub DIN, 28. ogrodzenie, 29. stolica sąsiadującej z nami republiki radzieckiej, 31. obszar oznaczony wskutek ruchów tektonicznych, 33. miasto uniwersyteckie w Est. SRR, 34. bułeczka kojarząca się z księżycem, 35. Polska u swych dawnych mułmańskich sąsiadów, 36. ośrodek eksploatacji złota w Jakucji, 37. dopływ Bobra z elektrowniami wodnymi, 38. kwiatek z rabatek.

Pionowo: 1. słup do kar cielesnych, 2. największa wyspa w archipelagu Sporadów, 3. szczyt w Beskidzie Wyspowym, 4. wytwórnia energii elektrycznej, 5. poranna lub polarna, 7. coś z nabiału, 9. z lubelskiego Startu do drużyny na Wyścig Pokoju, 10. zdrowy korzeń na sałatce, 15. w literaturze był nim Emil Zola, 16. konnica, 18. rozporządzenie papieskie lub cesarskie, 19. najstawniejszy długodystansowiec nowożytności, 20. uroczysty kielich, 23. miasto wojewódzkie, 25. aparat tlenowy do nurkowania, 28. znane opowiadanie M. Hłaski, 29. wieś w Egipcie na miejscu Teb ze słynnymi wykopiskami, 30. owoc z wielu nasionami, 31. mieszka w Lesoto, 32. zamach stanu.

### SZYFR

M11 H4 D5 O2 C12 / D1 J2 L5 C7 J8 F4 A12 / L15 E10 K11 D15 B5 O10 / O5 M9 A14 / N17 K13 / K5 J17 I3 C8 H10 E11 E5 N13 K9 N14 G8 / B3 J4 D2 H14 A8 / A13 H12 H16 D14 J15 L2 / E12 F1 O17 I9 / J3 O8 I5 E13 H6 //

Rozwiązania można nadsyłać do ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 50-050 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon. książkowy wartości 500 zł.

### ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI ŚWIATECZNEJ NR 25

Poziomo: bezokolicznik, ośnik, seler, etamina, oświata, karaś, amerykański, jadro, podprokurator, Kyebe, oryile, Aragon, sznur, duren, eleganti, przecinak, księgarz, osada, wojak, apretura, nośnik, pusztka, porys, Amman, alipaka, lekss, intruz, trygonometria, rolen, szczyt, zegar, księz, Asparja, Urban, cisko, przeniesienie. Pionowo: orzeźwaga, Lenkadia, duce, ereka, rózka, kineskop, ulan, kator, Tezeusz, satyr, runda, Gamin, różga, tarpany, granie, ster, Boż, Narodzenie, oki, kózka, zima, zdun, Marsylianka, Komi, stajanie, kreda, Lusaka, ukwiaty, anker, chlor, Jamno, banka, narośle, skonto, Laki, konwejer, Urie, Argus, Zair, pieterko, nazwiska.

### Szyfr

Gdy się dobrze ślepiem, szliśmy z dowódcą kompanii od jamki do jamki w okolicach nadwiślańskich, składając żołnierzom na posterunkach świąteczne życzenia. Zbigniew Zaluski CZTERDZIEŚĆ CZWARTY

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17
A	1		2		3			4				5	6		7		
B	8									9							10
C					11												
D	12												13				
E					14					15		16					
F	17				18										19		
G						20						21					
H	22		23												24		25
I			26						27								
J	28												29		30		
K					31		32										
L	33												34				
M					35												
N													36				
O		37						38									

Nagrody otrzymują: Krzysztof Kowalski, 02-647 Warszawa, ul. Bachmacka 4 m. 14; Ireneusz Molodecki, 22-402 Zamość 4 (R); Zofia Oleksy, Biskupice Radłowskie 163, 33-120 Radłów.